

ROZDZIAŁ I

„Gdy bawię się z kotem, kto wie, czy to on nie bawi się mną bardziej niż ja nim.”
Michel de Montaigne

Żółty karzeł złościście oświetlał niegościnnie księżyc błękitnej planety, wokół którego po okręgu, leniwie niczym ociężały olbrzym, orbitował Equilibrus 7, statek badawczy. Tuż przy nim, w pośpiechu uwijały się niewielkie sondy, kontrolujące prawidłową pracę systemów zewnętrznych oraz sprawdzając poszycie kadłuba.

Obiekt, całkowicie pozbawiony nierówności i uwypukleń, kształtem przypominał łzę. Ta owalna, krystaliczna struktura sprawiała wrażenie przezroczystej. Położenie pomiędzy planetą, a jednym z dwóch księżyców, ułatwiało utrzymanie stabilnej pozycji na orbicie. Wykorzystując niewielką grawitację naturalnego satelity oraz jego masę, starał się pozostać w ukryciu.

Błysk! Trwał sekundę, może krócej. Drugi obiekt pojawił się tuż obok. Niczym para złączona tańcem, dwa gwiazdne okręty orbitowały jeden obok drugiego.

– Przybyli – rozbrzmiała myśl Elipse w głowie Olarka, Turrackiego dowódcy...

Kroniki Gauda, Implementacja życia w sektorze Certis AH-87N -0Z6,
Archiwa

ANOMALIE

15 Czerwiec 2013, Genewa

Kolejna kropla deszczu spłynęła po szybie, zatoczyła łuk na nierównym parapecie i spadła na chodnik.

– Cholerny deszcz! – zaklął Bernard, obserwując ulice przez okno.

– Ciiiszej! – odezwała się zaspanym kobiecym głosem kształtnie uwypuklona purpurowa kołdra. – Śpij kochanie.

– Nie mogę spać, ten deszcz nie daje mi spokoju – odparł.

Monika przetarła rękoma zaspane oczy i z nadzieją spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Jedyne, co ujrzała, to rozmyty obraz rzeczywistości. Wada wzroku, co prawda niewielka, nie zniknęła w czasie nocy.

– Która godzina? – zapytała.

Bernard usiadł na skraju łóżka i nadal wpatrywał się w rozmyte deszczem światła uśpionego miasta.

– Po trzeciej, za dwie godziny muszę wstać do pracy – odparł znużonym głosem.

– Nie sądzisz, że lepiej wykorzystać pozostały czas na spanie?

Bernard uśmiechając się spojrzał na swoją piękną żonę i delikatnie, z czułością położył rękę na jej kolanie.

– To przez ten nowy projekt, wyznaczy albo nie, tor mojej kariery w firmie... ech – westchnął – może niepotrzebnie się przejmuję. Masz rację, śpijmy.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła go Monika. – Właż pod kołdrę.

Powierciła się chwilę i spytała:

– Martwisz się tym, co powie Steiner?

Bernard ponownie popatrzył na rozmazane światła za mokrymi szybami.

– Taaak, kiedy indziej ci wszystko wyjaśnię. Teraz nie mam do tego głowy. Kocham cię.

Monika objęła czule męża i spojrzała głęboko w jego ciemnobrązowe oczy.

– Ja ciebie też – odpowiedziała wciągając go do łóżka.

Poranek nie należał do przyjemnych. Uderzenia kropli deszczu stawały się coraz mocniejsze, a mieszkanie wydawało się ciche, zbyt ciche. Monika usiadłszy na łóżku, włączyła stojące na półce radio, a następnie sięgnęła po grzebień i zaczęła rozczesywać kasztanowe włosy. Mówiono jej, że są bardzo ładne oraz że pasują do jej oczu. Splotła włosy w kucyk i wyciągnęła się ponownie na łóżku. Zaczęła wsłuchiwać się w dobiegającą z radia muzykę oraz, niczym akompaniament najlepszej światowej orkiestry, delikatny odgłos rozbijających się o szybę kropli deszczu.

– Zobaczmy, co my tutaj mamy – powiedziała biorąc do ręki wczorajszą gazetę. – O proszę, piszą o mojej pracy. Naukowcy odkryli cząstkę Higgsa, tak zwaną boską cząstkę. Jakież to trywialne! – westchnęła wstając z łóżka.

„Bernard już poszedł, szkoda” – pomyślała.

Zakrzętnęła się po zabałaganionej po wczorajszej imprezie kuchni. Przetarła blaty, wstawiła naczynia do zmywarki. Chwyciła za odkurzacz. Kilka minut później rozejrzała się po mieszkaniu.

– Chyba już cały ten syf sprzątnięty – powiedziała do siebie.

Wskoczyła na moment do łazienki, aż w końcu znalazła się w garderobie. Założyła gustowny żakiet. Wreszcie wróciła do kuchni i zrobiła sobie lekkie śniadanie z dużym półlitrowym kubkiem kawy. Zerknęła na zegarek: siódma dwadzieścia.

– Cholera! – krzyknęła. – Znowu się spóźnię!

Połknęła błyskawicznie śniadanie zapijając gorącą kawą. Wybiegła z mieszkania w takim pośpiechu, że zapomniała pozamykać okna oraz drzwi. Na szczęście wraz z Bernardem mieszkała w ekskluzywnej, a co za tym idzie, raczej bezpiecznej okolicy. Apartament znajdował się w samym centrum Genewy, w dzielnicy Cite, na osiedlu mieszkaniowym Rive.

Monika była rodowitą Polką i prowadziła badania w CERN – Europejskim Ośrodku Badań Jądrowych. Centrum naukowo-badawcze położone było na północno-zachodnich przedmieściach Genewy, na granicy Szwajcarii i Francji, pomiędzy Jeziorem Genewskim, a górskim pasmem Jury. Pracowało tutaj dwa tysiące sześćset stałych pracowników oraz około ośmiu tysięcy naukowców i inżynierów, reprezentujących ponad pięćset instytucji naukowych z całego świata.

O tej porze dnia podróż do CERN zawsze stanowiła trudne zadanie. Zatłoczone drogi sprawiały, że Monika z trudem przedzierała się z centrum na przedmieścia Genewy. Wiedząc o tym, wolała wyruszać rano, zanim ulice zapełnią się samochodami. Tym razem się nie udało.

„Na szczęście, nikt mnie nie rozlicza z każdej minuty” – pomyślała, ponownie spoglądając na zegarek. „Co ja takiego miałam na dzisiaj przygotować? Ach tak! Raport ze zderzeń cząstek Higgsa. Do licha, zapomniałam! Mam nadzieję, że Mark nie będzie zbyt narzekał. Ci Niemcy, są tacy drobiazgowi. „

Życie zawodowe w CERN nigdy się nie kończyło. Dniami i nocami laboratoria, wykorzystywane do granic możliwości, dostarczały naukowcom nowych wyzwań. Monika prowadziła badania nad możliwościami pokonania przez cząstki neutronowe prędkości światła. Odkrycie to pozwoliłoby poddać w wątpliwość szczególną teorię względności. Zagadnienie kluczowe dla zaistnienia w przyszłości dalekich podróży gwiazdnych.

– Dzień dobry dr Eden! – wykrzyknął z zadowoleniem dr Jarecki, potomek emigrantów z Polski, wychowany w USA. – Kolejny pasjonujący dzień. Może w końcu uda nam się pokonać Einsteina!

– Witaj Robercie. Tiaaa, Einstein go home! – Monika uśmiechnęła się manifestując potencjalne zwycięstwo i zaciskając teatralnie pięść. – Wybacz za spóźnienie, ale poranne wstawanie nie należy do moich ulubionych zajęć.

– Nic się nie stało. Nie pracujesz na taśmie w fabryce – zażartował.

– Bernard miał ciężką noc. Obudził mnie i nie mogłam usnąć.

– Ci Francuzi. Nawet spać nie potrafią.

– Cóż, mają za to inne talenty – oznajmiła z uśmiechem Monika.

– Każdy z nas ma jakieś talenty – rzekł nieco głośniej.

– Czy Mark już narzekał, że mnie jeszcze nie ma? – zapytała spoglądając na zegarek.

– Nie, ale może, dlatego, że sam się spóźni.

Monika przesadnie wybałuszyła oczy manifestując zdziwienie.

– Niepodobne to do tego starego Niemca – odpowiedziała, nie kryjąc rozradowania.

Dr Jarecki zaśmiał się.

– Podobno wpadł na coś genialnego – odparł.

– Mam taką nadzieję, bo badania stoją w miejscu. Czasami wydaje mi się, że nauka raczkuje niczym niemowlę.

Robert uśmiechnął się.

– Nie dziw się Moniko, prawdziwa nauka ma nieco ponad sto lat. Porównując to do...

– Tak, wiem – przerwała mu – porównując to do Wszechświata. Można by rzec, że jesteśmy w fazie początkującego płodu.

Robert przyjacielsko poklepał ją po ramieniu.

– Po to tu jesteśmy, żeby ten płód mógł się rozwinąć – pocieszył ją.

Monika spojrzała na zegarek.

– Chodźmy, badania czekają.

– Muszę jeszcze coś załatwić. Za chwilę dołączę – odpowiedział tajemniczo i odkręciwszy się na pięcie ruszył przed siebie.

Monika szybkim krokiem skierowała się do laboratoriów badawczych. Obalenie teorii względności raczej nie należało do zadań, które można wykonać w ciągu jednej doby. Z punktu widzenia formalizmu naukowego, gdyby jednak ktoś tego dokonał, należałoby stworzyć od nowa opis wszelkich zjawisk fizycznych.

„Żyjemy w XXI wieku” – dumiała mijając kolejnych naukowców przedzierających się zatłoczonymi korytarzami do swoich miejsc pracy. „Ludzkość wkroczyła w fazę przyspieszonego skoku jakościowego. Technologie pojawiające się jedna po drugiej, wydłużyły czas życia przeciętnego człowieka. Miasta, to wielkie, rozrastające się do niebotycznych rozmiarów metropolie. Każdy może studiować, rozwijać się naukowo, przekraczać granice poznania. Globalizacja oraz pluralizm kulturowy dostrzegany jest coraz częściej w codziennym życiu przeciętnego człowieka.”

Monika skręciła w kolejny zakręt sunąc po korytarzu niczym zjawa, zmierzając do tylko jej znanego miejsca.

„Prawda jest taka, – myśli z siłą wodospadu rozbijały niezaspokojoną od czasów dzieciństwa ciekawość, – że od czasu zakończenia projektu Manhattan, cywilizacja nie poczyniła żadnych widocznych kroków naprzód. Gospodarka i codzienne życie nadal potrzebuje surowców energetycznych tak, jak setki lat temu. Kiedyś palono w piecach

drewnem. Dzisiaj używa się węgla i innych surowców. Rozwój w gruncie rzeczy jest znikomy. Zmieniły się środki, a nie przyczyny technologicznego postępu. Nadal, podstawowy środek transportu opiera swe działanie o zasadę wykorzystania koła. Tak jak dawniej. Różnica polega na tym, że samochody wykorzystują to tego koła mechaniczne, a kiedyś używano do tego zwierząt. Rozpatrując to z perspektywy historii, ludzkość nie posunęła się daleko w rozwoju. Planeta jest zanieczyszczana odpadami coraz większej i stale się powiększającej populacji. Ludzie egzystują w stadach, w betonowych dżunglach zwanych miastami. Zatrzuwają się nawzajem. Przeludnienie, dzisiaj jeszcze nie tak widoczne, za kilkadziesiąt lat stanie się bardzo poważnym problemem. Ale ludzie nie chcą o tym wiedzieć, nie chcą o tym słuchać. Wolą żyć na kredyt, który planeta jeszcze jest w stanie im zapewnić. Dlatego jedynym rozwiązaniem wydaje się być ekspansja. Kosmos. Nie da się ukryć, że posiadamy kilka ograniczeń – jednym z głównych jest pokonanie prędkości światła, znokautowanie teorii Einsteina. Muszę go pokonać”

– Tu jesteś – rzekł Mark wybudzając Monikę z zadumy. – O czym tak myślisz?

– O, już jesteś? – zdziwiła się. – Takie tam, filozoficzne rozważania.

Ogarnęła ją poczucie wstydu tak duże, że aż się zaczerwieniła

– Mark nie gniewaj się na mnie – wydukała z trudem. – Ten raport, o który mnie prosiłeś, zapomniała go przygotować. Zupełnie nie wiem jak to się stało, no po prostu wyleciało mi z głowy.

– Rozumiem – odparł dosłownie załamując ręce. – Mam nadzieję, że dostarczysz mi go na dniach. Tak?

Dr Eden potwierdzająco kiwnęła głową.

– Oczywiście. Daj mi kilka dni.

– Nad czym się tak zastanawiałaś? – zapytał wyraźnie zainteresowany.

– Nad rozwojem cywilizacji.

– No proszę – uśmiechnął się, – do jakich doszłaś wniosków?

– Czy to ważne?

Mark uniósł brwi dając do zrozumienia, że nie odpuści.

– No dobrze – wydukała Monika. – Czasami wydaje mi się, że nauka zatrzymała się. Gdyby bliżej się temu przyjrzeć to, de facto, stoimy w miejscu – kontynuowała zerkając na Marka.

– Hmm... ciekawa teoria – oznajmił głosem pełnym powagi nie zapominając o charakterystycznym mlaśnięciu ustami.

„Jezu, nienawidzę jak to robi!”, pomyślała Monika, równocześnie zdając sobie sprawę, że zaraz otrzyma życiową poradę.

– Moniko, żyjemy w okresie największego rozwoju nauki w historii cywilizacji ziemskiej – cmoknięcie nie pozwoliło o sobie zapomnieć. – Tobie nie muszę chyba tego tłumaczyć?

– Einstein, Tesla?

– Co Einstein, Tesla?

– Ich mniej popularne teorie. Odkrycia Tesli zostały zepchnięte na boczny tor. Wiele z jego projektów zostało zapomnianych. Czemu tego nie badamy? Może tam, są odpowiedzi?

Mlaśnięcie ponownie wydobyło się z ust Marka.

„Boże oszaleję!” – Monika walczyła sama ze sobą.

– Nie chcesz mi powiedzieć, że mamy teraz brać pod uwagę wszystkie pomysły Einsteina czy – zaśmiał się – Tesli? Na przykład podróże w czasie. To niedorzeczne – rzekł karcącym tonem, po czym oczywiście cmoknął. – To tak, jakbyśmy chcieli

zrealizować pomysły dotyczące wytwarzania wolnej energii, to niemożliwe. Ponadto, kto zapłaci za te bajdurzenia, ty?

– Nie wiem. Mimo wszystko należy zadać sobie pytanie, dlaczego nie poszukiwać innych rozwiązań, chociażby pozyskania wolnej energii? – zapytała Monika zatrzymując się w korytarzu, dodając w duchu: tylko nie mlaskaj!

– To oczywiste, jest to z punktu naukowego niemożliwe, niewykonalne i nierealne. Nasi poprzednicy czasami za bardzo dawali ponieść się własnej wyobraźni. Lata badań potwierdzają tezę, że niektórzy naukowcy, bardzo zasłużeni dla ludzkości, po prostu mylili się – rzekł dumnie Mark, po czym spojrzął na zegarek.

„ Uff, obyło się”, ucieszyła się Monika.

– Chodźmy. Szkoda naszego czasu – dodał mlaskając.

Ruszyli korytarzem. Monika milczała, nie chcąc wdawać się w kolejną jałową dyskusję wspomaganą przez efekty dźwiękowe dr Berlinga. Stanęli przy windzie i jak tylko drzwi się rozsunęły, Mark wcisnął guzik szóstego piętra.

– Tak, teraz mi powiesz, że ambicja ich pokonała – nie mogąc znieść milczenia rzekła ze złością Monika.

– Pokonała ich myśl, że są kimś więcej niż byli w rzeczywistości.

Dr Eden nie dawała za wygraną. Nie znosiła wiecznych sprzeczek z dr Berlingiem. Trudno jej było zrozumieć, dlaczego od zawsze był taki zamknięty na alternatywne rozwiązania w nauce.

– Mark ja chcę tylko powiedzieć, że stoimy w miejscu. Niedługo miną cztery lata odkąd próbujemy zdobyć dowód na to, że można rozpędzić cząstkę powyżej prędkości światła. To byłby przełom dla nauki – oświadczyła stanowczym głosem.

– To prawda, – uśmiechnął się tajemniczo mlaskając wargami – byłoby to niewiarygodne odkrycie, ale pamiętaj, że CERN nie powstało tylko po to, aby obalać teorię względności – argumentował zajadle Mark. – Mamy też inne priorytety, dlatego porzućmy te futurystyczne wizje i zabierajmy się do pracy.

Monika odpuściła sobie dalszą sprzeczkę. Wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Zmieniła temat.

– Gdzie jest Robert? Miał zniknąć tylko na chwilę – rozejrzała się wychodząc z windy.

– Pewnie poszedł na śniadanie. Zapraszam do mojego gabinetu.

Znaleźli się w małym pomieszczeniu, które było prywatną pracownią doktora Marka Berlinga, kierownika projektu AURORA. Badania polegały na monitorowaniu cząstek podczas ich wzajemnego zderzenia oraz na zapisywaniu i obserwowaniu zachodzących podczas tego procesu reakcji fizycznych.

– Podejź tu, chcę coś ci pokazać – rzekł Mark, pochylając się nad ekranem komputera. – Może jesteśmy bliżej, niż się nam wszystkim wydaje. Moniko tylko bardzo cię proszę, nie wpadnij w zbytnią egzaltację. Nic nie jest jeszcze potwierdzone.

– Co masz na myśli?

– Wczoraj, gdy wszyscy wyszli z pracy, postanowiłem zostać i sprawdzić obliczenia dotyczące naszego ostatniego eksperymentu.

– Masz na myśli wyniki, jakie zanotowaliśmy w LHC rozpędzając neutrina?

– Tak. Sprawdziłem obliczenia komputera oraz sprawność urządzeń. Wszystko było w należytym porządku. Przepuściłem dane przez główny komputer i dokonałem analizy uzyskując ten sam rezultat. Powtórzyłem obliczenia kilkakrotnie. Wynik za każdym razem był ten sam.

– Mark do rzeczy. O co chodzi? – zapytała z przejęciem Monika.

– Wyniki wczorajszego eksperymentu wskazują, że udało się rozpędzić wiązkę neutrin mionowych do prędkości większej, niż prędkość światła.

– Słucham!? Jakie wyniki uzyskano, jaką prędkość? – krzyknęła Monika niemalże wlepiając wzrok w monitor.

– W przybliżeniu, hmm, są to bardzo wczesne dane – zastrzegł Mark. – Prędkość była większa o prawie sześć kilometrów na sekundę, co daje nam różnicę wynoszącą około sześćdziesiąt nanosekund względem prędkości światła – odparł skrupulatnie.

Dr Eden nie mogąc ustać w miejscu kręciła się po pokoju rozmyślając. Mark bacznie się przyglądał czekając na jakąkolwiek reakcję.

– Czyżby Włosi mieli rację? – rzekła po chwili.

– Słucham? – zdziwił się Mark.

– W 2011 roku w Gran Sasso wiązki neutrin mionowych przekroczyły prędkość światła. O ile dobrze pamiętam, to właśnie CERN poprosiło o przeprowadzenie niezależnych badań w celu potwierdzenia odkrycia.

Dr Berling milczał chwilę w końcu westchnął:

– Tak, pamiętam – mlasnął. – To było, co innego. Nie śledziłem dokładnie tamtych wydarzeń, ale z tego, co wiem, było tam więcej krzyku niż naukowego odkrycia – rzekł nieco lekceważąco.

– Co robicie? – krzyknął Robert wbiegając do sali z kubkiem kawy oraz pączkiem.

– Robert! – zawołała Monika. – Przestraszyłeś mnie. Chcesz abym dostała zawału?

– Sorry.

– Spójrzcie na te wyniki! – prychnął Mark przywracając ich do porządku.

Robert podszedł do komputera.

– O rety! Znam to, eksperyment OPERA. Makaroniarze odkryli to samo dwa lata temu. Z tego, co wiem, powołano kolejną grupę naukowców w ramach nowego projektu o nazwie, yyy – zawahał się przez chwilę – ICARUS?

Spojrzeni po sobie.

– Nie wiem – odparł Mark.

– Nieważne, sprawdzę to później. Projekt miał potwierdzić wcześniejsze wyniki – rzekł szczerze uradowany.

– Robert, może powiesz coś więcej? – zapytała Monika wpatrując się w kolegę zagryzającego pączka.

– Oficjalnie ogłoszono, że pomiary były źle wykonane – rzekł oblizując palce usmarowane lukrem. – Projekt OPERA został zamknięty, a na jego miejsce powołano nowy zespół naukowców zaangażowanych w eksperyment, bodajże ICARUS.

– Kto kierował badaniami? – zapytał Mark.

– Jakiś makaron, chyba profesor Alberto Guntaro. Nie pamiętam dokładnie.

Mark spojrzał na Roberta, po czym stwierdził, że nie ma sensu wdawać się w kolejną dyskusję na temat nazewnictwa innych narodowości.

– Super. Przedstawimy mu nasze wyniki i skonfrontujemy badania – dodał po chwili. – Przygotujcie zespół, sprawdzimy, czy mówimy o tym samym.

– O ile znowu nie stwierdzą, – mruknął Robert, – że błąd pomiaru spowodowany był luźnym osadzeniem kabla światłowodowego w gnieździe łączącym puszkę z GPSEM.

– Puszczkę? – zapytała Monika.

– Komputery, mówię na nie puszkę – odpowiedział zjadając pączka.

– Czy mówisz komukolwiek o wynikach? – zapytała Monika Marka.

– Nie. Zanim nie będę pewny w stu procentach nie upublicznę tego – powiedział zamykając ekran laptopa. – Nie pozwolę, aby postrzegano mnie, jako poszukującego taniej sensacji naukowca.

– Potwórzmy eksperyment. Robert sprawdzi czy puszki są dobrze podłączone do odbiorników GPS – powiedziała Monika wstając z krzesła. – Spotkamy się przy LHC – krzyknęła wybiegając z sali.

Kod zaakceptowany, metalowo zabrzmiał komunikat z panelu kontrolnego umożliwiający dotarcie do niższych poziomów. Dr Monika Eden wsiadła do windy wypełnionej przez dziewiątą symfonię Beethovena. Podróż nie trwała długo. Wielki Zderzacz Hadronów umieszczony był od pięćdziesięciu do stu siedemdziesięciu pięciu metrów pod ziemią. Korzystanie z niego było wyjątkowo ograniczone. To niewiarygodnie drogie urządzenie i jakkolwiek awaria kosztowałaby miliony euro. Skomplikowana aparatura pomiarowa, dwa duże detektory cząstek elementarnych ATLAS i CMS, dwa mniejsze ALICE i LHCb oraz trzy małe TOTEM, LHCf i MoEDA stanowiły najnowocześniejsze wyzwania techniki.

– Witaj Torben – powiedziała Monika do siedzącego przy drzwiach asystenta.

– Dr Eden – odpowiedział szczerze uradowany. – Nie mogę się doczekać kolejnych testów.

– Uwierz mi, ja też. Przygotuj urządzenie. Za chwilę pojawią się Robert z Markiem.

– Robi się. Co dzisiaj robimy?

– Spróbujemy rozpędzić protony oraz wiązkę neutrin mionowych do maksymalnej prędkości – odparła Monika siadając za panelem komputera.

– Czyli to, co zawsze. LHC będzie gotowe za chwilę.

Drzwi od windy otworzyły się. W wejściu stanęli Robert oraz Mark. Zdecydowanym krokiem zbliżyli się do komputerów obsługiwanych przez Torbena.

– Cześć Torben – powiedzieli unisono, jak na zawołanie.

– Witam panów. Zaraz możemy zaczynać – odpowiedział, nie spuszczając oczu z monitora.

– Zatem, do dzieła – rzekł Robert.

Akcelerator liniowy gotowy, rozległ się komputerowy głos. Rozpoczynam rozpędzanie protonów. Buster Synchrotonu Protonowego gotowy. Przesyłanie. Cząstki gotowe. Zwiększono energię do 26GeV. SPS gotowy. Rozpędzam cząstki do energii 450 GeV. Protony gotowe. Rozpoczynam proces. Energia zderzenia 14TeV. Proces w toku. Szacowany czas zakończenia, dwie godziny.

– No to się troszkę ponudzimy – powiedział Robert. – Mogłem kupić więcej pączków.

– Niekoniecznie Robercie. Idę obserwować cząstki podczas zderzeń. Torben, wrzuć to na mój monitor. Proszę o stały zapis – rzekła poważnie Monika.

– Yes, sir! – odparł z uśmiechem asystent.

Proces rozpędzania i zderzania cząstek przebiegał nad wyraz prawidłowo. Nie dopatrzonego żadnych nieprawidłowości. Monika siedziała i wpatrywała się w monitor niczym sroka w gnat.

„Dlaczego zamknęli projekt ICARUS, skoro byli tak blisko odkrycia?” – myślała. „Świat naukowy od dawna czeka na przełomowe wydarzenia z zakresu mechaniki kwantowej. Gdybyśmy, chociaż mogli udowodnić, że podróż do najbliższego systemu gwiazdnego Proxymy Centauri jest na wyciągnięcie ręki. Być może to odkrycie otworzyłoby mi drogę do Europejskiej Agencji Kosmicznej, a kto wie być może do samej NASA” – w głowie Moniki wirowały myśli, objijając się jedna o drugą.

„Jednakże, nawet, jeśli odkrycie w Gran Sasso zostanie potwierdzone to, czy pomiar prędkości światła został dokonany przez nas prawidłowo? Sześćdziesiąt nanosekund to zbyt mała wartość, aby od razu obalać teorię względności. Jeśli prędkość światła ma swoje wariacje, to do przełomowego wyniku potrzeba czegoś więcej. Nanosekundy to zbyt niska wartość, nam niezbędne są sekundy.”

– Robert, jak duże znaczenie w teorii względności ma geometria czasu i przestrzeni? – zapytała Monika znając doskonale odpowiedź.

– Słucham? – zdziwił się. – Zasadniczo to podstawa tej teorii. Czyżbyś o czymś zapomniała? – wyszczerzył się sympatycznie.

– Zastanawia mnie moc naszej wiary w prawa fizyki – odpowiedziała ze spokojem.

– Wiara nie ma tutaj nic do powiedzenia. Wszystko przedstawiają wzory i doświadczenia, lata badań – wtrącił się Mark jak zawsze mlaskając ustami, gdy starał się pouczać innych.

– To oczywiste. Ty cwana bestio – krzyknął Robert podchodząc do komputera Moniki. – Fizyka w zasadzie nie ma dowodów na to, że siły fizyczne są rezultatem geometrii czasoprzestrzennej. No i oczywiście nie są to siły w klasycznym rozumowaniu. Coś na podobieństwo zasady a priori sformułowanej przez Kanta. Tak?

– Dokładnie o to mi chodzi. – odpowiedziała Monika. – Być może źle do tego wszystkiego podchodzimy. Być może pomijamy fakt istnienia innych, prawdziwych sił i cząstek, które budują materię.

– Co masz na myśli? – zapytał wyraźnie zaniepokojony Mark.

– To, że każda iteracja jest dowodem swojego dowodu. Myślenie w ten sposób jest rekurencyjne, bezsensowne – oświadczyła Monika. – To tak jakbyś chciał rozwiązać równanie z zawiązanymi oczami. – Prawda?

– Nie chcesz mi powiedzieć, że cały świat naukowy opiera wszystkie zasady fizyczne na błędnych przesłankach wyjściowych? – zapytał z niedowierzaniem Mark.

– Dokładnie właśnie to chcę powiedzieć – odparła stanowczo. – Czasami świat naukowy wydaje mi się taki zamknięty, a to właśnie my, powinniśmy być najbardziej otwarci na każde niezbadane teorie. Mimo to, geometria czasoprzestrzenna została przyjęta, bo nie było innego wyjścia – odpowiedziała wstając i przechadzając się po sali. – Wprowadzili ją do kanonu nauki tylko, dlatego, aby wypełnić lukę w rozumowaniu logicznym.

– Nie widzę niczego złego w konstruktywnym krytycyzmie i rozsądnym dobieraniu metod badawczych oraz sektorów w nauce. Czasami, musimy coś przyjąć na zasadzie intuicji – zarzekł się Mark.

– Co nie oznacza, że może być bezsensowne – dołączył się do dyskusji Robert.

– Oczywiście, że nie! Nie mamy czasu w naszym życiu, aby teraz badać, czy wzór na obwód koła jest prawidłowy. Musimy zaufać naszym poprzednikom – burknął podirytowany Mark.

Atmosfera dyskusji zmierzała w niebezpiecznym kierunku i bardzo szybko mogła przekształcić się w ostrą sprzeczkę. Robert postanowił załagodzić klimat.

– To nie dyskusja na teraz – rzekł specjalnie, łagodnym głosem. – Lepiej skupmy się na badaniach. Idę zapalić. Czy ktoś jeszcze się wybiera?

– Idę z tobą. Muszę coś zjeść. Torben, gdyby obliczenia i wyniki pojawiły się wcześniej, prześlij je do mnie. Potem odczytam, wrócę za godzinę. – powiedziała Monika zakładając kurtkę i wychodząc z sali.

– Jasna sprawa – rzekł Torben rozkładając się w fotelu, jakby za chwilę miał zapaść w głęboki sen.

– Co za uparta kobieta – mruknął do siebie Mark, szczerze niepokieszony zachowaniem dr Eden. Nie znoził, gdy na każdym kroku podważała jego autorytet.

Sprawa posiłku okazała się ostatnią rzeczą, o której w obecnej chwili myślała Monika. Wybrała się na godzinny spacer. Jej umysł ciągle zaprzętała sprawa aktualnego stanu badań. Nurtował i martwił ją fakt, że poszczególne dziedziny nauki się nie zazębiały. Wiedza, powinna być całościowo dopasowana i zgrana z prawami faktycznymi realnego świata. Tymczasem tak nie było.

„W CERN naukowcy,” ponownie uciekła w świat własnych wyobrażeń, „którzy zbaczali z utartej ścieżki oficjalnej wiedzy nie byli postrzegani przychylnie. Oczywiście nikt ich za to nie piętnował, czy zwalniał z pracy. Chodziło raczej o sposób traktowania. Nieszkodliwi marzyciele i dziwacy, którzy oglądali za dużo Star Treka. Z czego to wynikało? Nikt nie wie. Po prostu tak było” – tłumaczyła sobie.

Telefon umieszczony w kieszeni zaczął wibrować.

– O, Bernard dzwoni – ucieszyła się. – Co słyszę kochanie?

– Cześć. Nie uwierzysz. Zgadnij, co się stało! – wykrzyczał podekscytowany.

– Hmm. Kosmici wylądowali na twoim miejscu parkingowym i nie możesz ich usunąć?

– Tiaaa, ale już ich na szczęście odholowali – zaśmiał się. – Moniko zgodzili się. Jutro ma zostać zebrana rada nadzorcza firmy w celu przedstawienia mojego pomysłu w dziedzinie komunikacji.

– Bernard mówiłeś mi o tym, ale ja nic z tego nie rozumiałam.

– Moniko, mogę zostać kierownikiem badań komunikacyjnych Alpha Communication Industries!

– To wspaniale! To... – uradowała się Monika.

– Będziemy bogaci! – przerwał jej podekscytowany Bernard.

– Musimy jakoś to uczcić. Może uroczysta kolacja w Le Chate-Botte. Dzisiaj wieczorem?

– Oczywiście. O której godzinie?

– Dwudziesta?

– Wyśmienicie. Muszę kończyć – rzekł Bernard. – Mój nowy szef woła nas na zebranie. Do zobaczenia później. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Alpha Communication Industries zajmowała się wdrażaniem nowych technologii komunikacyjnych dla wojska oraz na rynek cywilny. To oni opracowali urządzenia do komunikacji z promami kosmicznymi oraz astronautami pracującymi w przestrzeni zawieszanej pomiędzy termosferą i egzosferą.

„Jeśli Bernard jest tam prezesem”, pomyślała Monika, „to istnieje szansa, że pozna kogoś wpływowego, kogoś kto mógłby pomóc mi w przejściu do bardziej ambitnych projektów niż badanie cząstek w CERN. Muszę z nim o tym pogadać. Pora wracać. Już prawdopodobnie skończyli obliczanie wyników”.

– Najedzona? – zapytał zniecierpliwiony Robert, wyłaniając się za plecami Moniki niczym duch.

– Robert! Znów mnie wystraszyłeś. Dlaczego to robisz? Jeszcze nie jadłam. Nie mam na to czasu i nie jestem głodna. Rozdrażniła mnie ta przepychanka z Markiem – powiedziała, nie kryjąc poirytowania.

Robert westchnął dodając:

– Mark ma swoje lata. Pracuje tutaj od ponad dwudziestu lat.

Monika nerwowo starała się włożyć telefon do kieszeni.

– Może o parę lat za długo. Nawet nie wiedział, co to jest projekt OPERA.

- Jego interesują jedynie oficjalne wyniki badań. Przypuszczenia traktuje jak bajki. Udało się. Telefon łagodnie wsunął się na dno.
- Nie jestem w stanie z nim pracować. Czuję się jakby mnie hamował.
- Musisz się przemóc. Jak by na to nie patrzeć, Moniko, to on kieruje naszym działem. Ponadto coś odkrył.
- Tak, masz rację – uspokoiła się – wracajmy. Zdołałeś uzyskać informację o projekcie ICARUS?
- Jakby to powiedzieć, właśnie wróciłem. Jakoś nie miałem czasu – odparł Robert uśmiechając się.
- Faktycznie. Przepraszam. Po prostu...
- Wiem, wiem – przerwał Robert. – Mam to samo. Wielkie odkrycie na miarę historii. Jednakże historyczne odkrycia potrzebują wielkich ludzi.
- Jeśli chcesz wprawić mnie w kompleksy, to obawiam się, że ci się nie uda. Nie boję się świata naukowego i polemiki ze współczesną fizyką.
- Ja też nie, pod warunkiem, że będziemy mieli, o czym z nimi rozmawiać.
- Na policzkach Moniki zarysowały się niewielkie dołki, charakterystyczne dla jej uśmiechu.
- Chodź, sprawdzimy, co tam wyszło – rzekł Robert klepiąc ją w ramię.
- Praca w laboratorium postępowała. Tabelki, wykresy i obliczenia zakryły wszystkie monitory rejestrujące pracę LHC. Mnogość oraz obfitość informacji mnożyła się z każdą sekundą. Torben, siedzący przy głównym komputerze, segregował i selekcjonował najważniejsze dane, cicho sobie przy tym pogwizdując. Na twarzy Marka Berlinga kumulowało się skupienie i podekscytowanie.
- Wreszcie jesteście! Nie było was ponad dwie godziny – skarcił wchodzących naukowców.
- Przepraszamy. Rozpatrywaliśmy ciekawe teorie naukowe i jakoś tak wyszło – odparł lekceważąco Robert.
- Mark pokiwał głową nie ukrywając oburzenia.
- Czy proces się zakończył? – zapytał Robert z ciekawym stanem sytuacji.
- Tak. Opracowujemy wyniki – odparł Mark.
- Według komputerów pomiarowych udało się nam ustalić prędkość światła oraz zestawić ją z prędkością poruszających się neutronów. Komputer wskazuje, że wiązki neutronów były szybsze od światła o sześćdziesiąt nanosekund.
- Czy to pewny wynik? – zapytała Monika.
- Powtórzyliśmy obliczenia kilkakrotnie – odpowiedział Torben. Za każdym razem rezultat był identyczny.
- Czy to nie dziwne, że nie ma żadnej różnicy. Sześćdziesiąt nanosekund za każdym pomiarem wydaje się nieco podejrzane – rzekł Robert spoglądając na wykresy zapisane na monitorze.
- Też miałem te obawy. Wczoraj zostałem po pracy, aby dokładnie to sprawdzić. Doszedłem do tych samych wniosków – wtrącił Mark.
- Wszyscy podeszli do głównego komputera spoglądając na wykres. Przyglądali się uważnie, szukając potencjalnego błędu w swoim myśleniu.
- Powinniśmy przedstawić te badania innym naukowcom, może coś przeoczyliśmy – stwierdził Robert gryząc długopis.
- Najlepszym rozwiązaniem byłoby nawiązanie współpracy z naukowcami z projektu OPERA – zaproponowała Monika.
- To prawda – rzekł z zadumą Mark, lecz problem polega na tym, że projekt został zamknięty.

– Na pewno pracują nad nowym zagadnieniem. Wydaje mi się, że znajdą czas na spotkanie w CERN – zaproponował Robert.

– Nie pozostaje nam nic innego, tylko skontaktować się z nimi – rzekła radośnie Monika.

– Zajmę się tym. Profesor Guntaro wydaje się być ciekawą osobistością – stwierdził stanowczo dr Jarecki.

– Torben zapisz obliczenia. Wrócimy do badań na dniach – rzekł Mark.

– Czyli na dzisiaj koniec pracy? – zapytał uradowany Torben.

– Tak. Obliczenia mówią same za siebie. Dopóki nie porównamy badań naukowców z Gran Sasso nic tu po nas – zaproponował Mark spoglądając na wszystkich.

– Jestem za – odparł Monika.

– Robert skontaktuj się z profesorem Guntaro i jak najszybciej daj mi znać, co ustaliłeś – poinstruował Mark mlaskając.

Robert zaśmiał się widząc zdeglustowaną minę Moniki.

– Co cię tak śmieszny? – zapytał Mark.

– Aaaa, nic takiego – odparł Robert zakładając kurtkę. – Zadzwoń i dam znać. Do zobaczenia.

– W takim razie do jutra – powiedziała Monika z trudem powstrzymując się od śmiechu.

– Cześć, cześć – odpowiedzieli chórem rozchodząc się każdy w swoją stronę.

Monika sięgnęła po telefon. Wybrała numer Bernarda. Odbierz, pomyślała, nic. Pewnie ma spotkanie. Teraz naprawdę jestem głodna. Spakowała swoje rzeczy i opuściła CERN. Nie miała żadnego pomysłu na to, jak spędzić resztę dnia. Odgłos dzwoniącego telefonu wielce ją rozradował.

– Dzwoniłaś? – w słuchawce rozbrzmiał głos Bernarda.

– Tak. Możemy przesunąć kolację na godzinę dziewiętnastą? Wcześniej skończyłam i nie mam pomysłu na resztę dnia.

– Oczywiście. Zawsze możesz przyjechać do domu. Wiesz, tak sobie pomyślałem, że możemy ugotować coś razem... – Bernard zawiesił głos.

– Przy świecach? – zaśmiała się.

– Pewnie. Jak za starych lat. Mam nadzieję, że tym razem nie przypalisz sobie włosów.

– Proszę, miałeś mi o tym nie przypominać. Myślałam, że się wtedy spalę ze wstydu.

– No cóż, było blisko spalenia, ale nie koniecznie ze wstydu.

– Bernard! Doskonale wiem jak to wyglądało – powiedziała z powagą.

– Jasne. Nie ma tematu.

– Zrobię zakupy. Widzimy się w domu – rzekła Monika wsiadając do samochodu.

– Wygląda, że mamy plan na cały dzisiejszy wieczór.

– Tak. Potrzebujesz czegoś, kupić ci coś?

– Nie, dzięki. Trzymaj się. Pa.

– Pa – odpowiedziała i wrzuciła telefon do torebki.

Silnik samochodu cicho zamruczał. Płace w Polsce nie dawały naukowcom możliwości życia na godnym poziomie. Z tego powodu, najzdolniejsi uciekali w poszukiwaniu lepszego jutra na Zachód. Do tej grupy należała dr Monika Eden. Po obronie doktoratu na wydziale Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej Uniwersytetu Jagiellońskiego otworzyły się przed nią możliwości dalszego naukowego rozwoju. Habilitacja na paryskiej Sorbonie pomogła w otrzymaniu pracy w CERN. Dr Eden

marzyła o locie w kosmos, jednakże wykryta wada serca pokrzyżowała te ambitne plany. Tak oto, zamiast bycia astronautką, została kosmologiem i fizykiem kwantowym.

Zakupy okazały się nudniejsze, niż sądziła, zresztą nigdy nie lubiła tego robić. Woląca spędzać czas nauce, wpatrywaniu się w gwiazdy, wymyślaniu teorii na temat budowy wszechświata. Niestety, życie składa się ze spraw wielkich jak i małych. W zdecydowanej większości ludzie egzystują monotonicznie, jednak istnieje nieliczna garstka wybrańców losu, która może sobie powiedzieć: byłem i widziałem. Stałem na krawędzi, gdzie poznanie i niewiedza krzyżowały swe drogi. Do takich osób zdecydowanie należało zaliczyć dr Monikę Eden.

– Wróciłem! – krzyknął Bernard wchodząc do domu.

– Super. Zaraz przyjdę – odpowiedziała Monika z kuchni.

Mieszkanie, do którego wprowadzili się rok wcześniej, nie należało do tych największych, ale było za to pięknie urządzone. Nowoczesna architektura charakteryzowała się wielkopowierzchniowym przeszkleniem skąpanym w świetle. Mieszkanie wydawało się pełne przestrzeni. Taka jak kosmos – mówiła Monika. Takim jej się wydawał: pustym i zarówno głębokim, pobudzającym wyobraźnię.

– Jak ci minął dzień? – zapytała krojąc marchewkę. – Zaraz przyjdę.

– Rewelacyjnie. Zarząd zaakceptował moją kandydaturę. Jutro, to DZIEŃ mojego życia – odpowiedział podekscytowany siadając do stołu.

– Świetnie. Spełniło się twoje marzenie. Odkąd cię znam, mówiłeś, że chcesz mieć wpływ na badanie kosmosu. Nowe projekty i wytyczanie przyszłych standardów w rozwoju komunikacji.

– Tak, ale ten projekt, to coś jeszcze bardziej przyszłościowego.

– Rozumiem. Nie pytam, by nie zapeszyć. – Kupiłam szampana oraz czerwone wino – powiedziała Monika podając Bernardowi pusty kieliszek. Zasiadli do stołu.

– Za co wypijemy? – zapytał uśmiechnięty.

– Za twoją karierę i moje badania.

– Za możliwość lotu do Proximy Centauri!

– Za wszystko, o czym marzymy! Za przyszłość!

Bernard niespodziewanie i ku pełnemu zaskoczeniu Moniki wyciągnął niewielką kasetkę kładąc ją na stole.

– Co to? – zapytała zmieszana. – Chcesz mi się ponownie oświadczyć?

– Nie. Jeden raz wystarczy. Otwórz.

W środku znajdowała się niewielki naszyjnik w kształcie wydłużonego koła.

– Nasze zdjęcie z czasów studiów – zaśmiał się Bernard. – Jest niewielkie, ale przypomina mi o naszej determinacji i pasji. Proszę, nigdy się z nim nie rozstawaj, to dla mnie bardzo ważne – dodał nieco tajemniczo.

– Zaraz się rozplączę – zaczerwieniła się Monika. – Od kiedy jesteś taki sentymentalny?

– Za nas – wyszczerzył się Bernard.

Kieliszki wypełniły się czerwienią. Szkło zadźwięczało, pieczętując rytuał dobrych życzeń.

– Mmm, pyszne wino – pochwalił Bernard.

– Tak. Nie patrz tak na mnie, to nie ja wybierałam. Doradzili mi – zaśmiała się.

– Nigdy bym na to nie wpadł – poważnemu tonowi przeczył szeroki uśmiech. – Wiesz, przeglądałem projekty na najbliższe pół roku. W przyszłym tygodniu mam spotkanie z kierownikiem projektu JUICE. Eeee, nie pamiętam nazwiska.

– JUICE? Soczek? – zainteresowała się Monika.

Zaśmiali się.

– Nie. Tak naprawdę to skrót nazwy: Jupiter Icy Moon Explorer, misji, która ma wystartować w celu zbadania księżyców Jowisza. Nasza firma ma opracować system komunikacyjny. Pomyślałem sobie, że zarekomenduję panią dr Monikę Eden do wzięcia udziału w projekcie. Co ty na to?

– Panie Eden! To doskonały pomysł. Gdyby się udało, byłoby wspaniale. Mogłabym wreszcie zająć się spełnianiem swoich marzeń. Jest na to jakakolwiek szansa?

– Wydaje mi się, że tak. Masz doskonałe CV. Projekt rusza dopiero w 2022 roku, ale już teraz potrzebują specjalistów do przygotowania misji typu L1.

– L1, misje o najważniejszym priorytecie. Brzmi nieźle – odparła Monika zbliżając się do Bernarda.

– Nie chwał dnia przed zachodem Słońca – odpowiedział. – JUICE to przepustka do udziału w wielkim projekcie – uśmiechnął się.

Monika błyskawicznie zerwała się na nogi.

– Jedzenie! – krzyknęła. – Zaraz się przypali! Bernard, nakrywaj do stołu! Przygotuj sztućce.

– Robi się.

Zaterkotał telefon.

– Nie teraz – powiedziała Monika patrząc w stronę natrętnego przedmiotu.

– Pomóc ci w czymś? – Bernard raptem wcielił się w ideał kulturalnego faceta.

– Przypilnuj makaron. Zaraz przyjdę. Pewnie Robert dzwoni. Pracujemy nad czymś bardzo ważnym i muszę z nim zamienić słówko.

– Dobra!

– Słucham – powiedziała Monika.

– Mam ciekawe informacje! – Robert wykrzyczał podekscytowany. – Otóż próbowałem skontaktować się z naukowcami z projektu OPERA. Panowie wespół w zespół zwolnili się z pracy i nikt nie wie, gdzie są teraz zatrudnieni. Próbowałem zdobyć numery do ich rodzin, ale też bez rezultatów. Dziwne to. Spróbuję jeszcze z moim dawnym kolegą ze studiów Terryem Whitemanem. Podobno także pracował jakiś czas przy tym projekcie.

– Byłoby super. Swoją drogą nie dziwi mnie to. Też bym złożyła wypowiedzenie, gdyby zamknęli mi projekt. Najlepiej byłoby skontaktować się z kierownikiem badań.

– Dzwoniłem do niego – rzekł Robert. – Nie wyraża zainteresowania spotkaniem.

– Co? Dlaczego? – zapytała ze zdumieniem.

– Profesor Guntaro stwierdził, że projekt został zamknięty, ponieważ były ku temu rozsądne przesłanki. Urządzenia podłączone do głównych komputerów wykazały awarię. Cały raport z badań dostępny jest w Gran Sasso.

– To niemożliwe. Nasze wyniki potwierdzają ich wyliczenia.

– Powiedziałem mu to, a wtedy stwierdził, że powinniśmy w takim przypadku sprawdzić aparaturę pomiarową. Z chęcią by nam pomógł, ale jest zaangażowany w nowe badania.

– Nie mogę w to uwierzyć! Jaki naukowiec, który od lat stara się rozwinąć teorię względności, odrzuca możliwość zbadania faktów, które dostarczą mu solidnych argumentów do stworzenia podwaliny pod nową fizykę? – zapytała nie kryjąc irytacji w głosie.

– Moniko, wiem. To wydaje się dziwne. Dlatego sprawdziłem coś jeszcze. Kto stworzył podwaliny pod mechanikę kwantową?

– Max Planck. Co to ma wspólnego z projektem OPERA?

– Bardzo dużo. Nie chodzi jednak o Maxa Plancka. Jednym z naukowców pracujących w projekcie OPERA była Alicja Born córka Maxa Borna. Wiesz doskonale,

że złota trójca Pascual Jordan, Max Born oraz Werner Heisenberg to główni twórcy mechaniki kwantowej.

– Co w tym dziwnego? Robert do rzeczy.

– Okazało się, że Alicja Born badała zastosowanie zasady Pascuala Jordana, która głosiła, że stałe fizyczne, na których opiera się opisywanie świata, także ulegają zmianom. Wraz z upływem czasu jej badania utajniono.

– Kto utajnił? – zapytała Monika.

– Wojsko.

– Co to ma wspólnego z naszymi badaniami?

– Jeśli cząstki z biegiem czasu zmieniają właściwości i zachowują się jak żywy organizm, to taka wiedza rzuca nowe światło nie tylko na teorię względności lecz na całą fizykę. Naziści nad tym pracowali podczas II wojny światowej. Naukowcy w projekcie OPERA powoływali się na badania Pascuala.

– Robert, to, co mówisz, przypomina opowieści z kryminałów i filmów szpiegowskich. Uważaj jutro, jak będziesz odpalał samochód. Może wybuchnąć – ironizowała Monika.

– Tak wiem, ale jeśli w badanie projektu OPERA zaangażowało się wojsko to zapewniam cię, że nikt nam nie pomoże. Prace są tajne.

– Może profesor nie chce nic powiedzieć przez telefon. Gdybyśmy tak spotkali się z nim osobiście? Nadal nie mogę połączyć badań nad prędkością światła z projektami nazistowskich naukowców.

– Nie chodzi o nazistowskie badania.

– Nie? A to mi ulżyło – zakpiła Monika.

– Cokolwiek odkryli w Gran Sasso, zostało zatuszowane przez rząd. Możliwe, że projekt został zamknięty na papierze, a w rzeczywistości nadal trwa.

– Tym bardziej powinniśmy porozmawiać z profesorem.

– Moniko stygnie! – krzyknął Bernard z jadalni.

– Przeszkadzam? – Robert miał widocznie bardzo dobry słuch.

– Nie, ale teraz muszę kończyć. Porozmawiajmy o tym jutro. Znajdź adres profesora. Może złożymy mu wizytę?

– Jasne. Powiadomię Marka.

– Nic na razie mu nie mów! Pomyśli, że oszaleliśmy. Do jutra! – rzekła Monika odkładając telefon.

– Monika! – krzyknął Bernard. – Gdzie są talerze?

– Już idę. Bernard przepraszam cię. Mamy kryzysowy moment w badaniach. Dzwonił Robert – powiedziała podając talerze i siadając przy drewnianym stole ozdobionym zapalonymi świecami.

– Coś poważnego? – zapytał.

– Prawdopodobnie odkryliśmy coś niezwykłego.

Bernard nakładał makaron na talerze, a następnie polał sosem.

– To ciekawe. Opowiedz – rzekł wyraźnie zainteresowany.

– Dr Berling podczas badań nad zderzaniem neutrin odkrył, że poruszają się o sześćdziesiąt nanosekund szybciej niż wynosi prędkość światła.

– To niewielka różnica. Może pomiar był błędny, albo urządzenia zawiodły?

– Też tak myśleliśmy, jednak przeprowadziliśmy masę testów i za każdym razem wynik był ten sam – odpowiedziała nabierając makaron na widelec.

– Czy ktoś jeszcze zajmował się tego typu badaniami? Poproście o pomoc. Może coś przeoczyliście – zasugerował Bernard.

– Próbuje właśnie to zrobić. Jutro się okaże, a wtedy mogę wyjechać na kilka dni.

– Poważna sprawa. Dokąd jedziesz?

– Do Włoch.

– Na długo?

– Nie wiem. Musimy spotkać się z profesorem Guntaro, który prowadził podobne badania.

– Jasne, tylko chcę wiedzieć, kiedy się Ciebie spodziewać z powrotem w domu

– Zadzwoń.

– Ja, w tym czasie, porozmawiam odnośnie możliwości przeniesienia do projektu JUICE.

– Byłoby wspaniale.

– Wiem. Widywalibyśmy się częściej. Do tego wspólna praca.

Bernard nalał wina do kieliszków.

– Co u rodziców? Chcą przyjechać do Szwajcarii? – zapytał.

– Tak. Na święta. Nie masz nic przeciwko?

– Nie, oczywiście, że nie. Lubię rozmawiać z twoim ojcem.

– Tak wiem – rzekła z udawaną powagą Monika. – Szczególnie te o UFO. Wiesz, jaki on jest...

– Ciekawy – wtrącił się Bernard łapiąc Monikę czule za rękę – Nie lubię się z nim spierać. Jednak jego teorie na temat spisków często wywodzą się z braku wiedzy lub zerowego doświadczenia w pracy w instytucjach typu NASA.

– Dlatego nie kłóć się z nim. Idź na ustępstwa. On ma swoje lata.

– Wiem. Ostatnio jak przytakiwałem, wyszło na to, że Księżyc jest sztucznym satelitą przywiezionym tutaj przez obcych.

– Kontrowersyjna teoria – rzekła Monika. – Trudno cokolwiek stwierdzić. Nie mamy dowodów, że tak nie było.

– Oczywiście. To jednak nie powód, żeby od razu taktować takie teorie niczym naukowe – oburzył się Bernard kończąc swoją porcję.

– Nauka powinna być otwarta na wszystko. Po prostu nie kłóć się z nim. Dobrze? Bardzo Cię proszę.

Monika odłożyła sztućce. Równiutko, starannie. Znowu poczuła się dziwnie. Już od jakiegoś czasu miewała silne ataki migreny. Chciała, aby ten wieczór był wyjątkowy, lecz teraz nie była w stanie na niczym się skupić. Nagle wszystko zaczęło ją irytować, zapach, światło oraz dźwięk.

– Oczywiście. Coś się stało? Boli Cię głowa? – zapytał Bernard.

– Muszę się położyć. Może dotrzymasz mi towarzystwa? – wstała od stołu.

– Nie jesteś głodna? Prawie nic nie zjadłaś – zapytał wskazując widelcem.

– Nie mam teraz apetytu. Pyszne to wszystko, ale jestem zmęczona. Te badania... aż mnie głowa rozbolała.

– Posprzątam i zaraz przyjdę – odpowiedział Bernard.

– Zostaw to – pocałowała go w policzek. – Jutro ja to zrobię. Czekam na Ciebie – powiedziała znikając w drzwiach sypialni.

„Jutro”, pomyślał Bernard, „to jedziesz do Włoch”.

Monika wpatrywała się w noc zapadająca nad Genewą, która utulała to miasto do snu. Światła latarni, stojące karnie w szeregu, rozjaśniały niezliczone skrzyżowania, a bezchmurne niebo w całej okazałości prezentowało swój gwieździsty bezmiar. Kosmos, jak każdego dnia, był na wyciągnięcie ręki dla zmęczonej i przepracowanej ludzkości.

Wydawało się, że wszystko jest tak blisko. Tuż nad naszymi głowami. „Kiedyś tam polecę”, pomyślała dotykając palcem gwiazd.

FALLING SKY

20 Czerwiec 2013, Calvi, Korsyka

Sztab wojskowy drugiego regimentu Legii Cudzoziemskiej tętnił życiem. Interwencja w Mali przeprowadzona została zgodnie z założeniami: symetryczne działania wojenne zakończyły się całkowitym sukcesem. Należało przejść do kolejnej fazy operacji. Brakowało tylko jednostki specjalnego przeznaczenia, która miała wykonać nietypowe zadanie. Nie chodziło o typową operację specjalną, lecz o działanie wywiadowczo-rozpoznawcze głęboko na tyłach i jeśli zajdzie taka potrzeba w strukturach przeciwnika. Należało dobrać właściwych ludzi do specjalnej grupy bojowej. Dowództwo operacji *Serwal*, czyli francuskiej operacji reagowania kryzysowego jednoznacznie stwierdziło, że najlepiej, aby byli to sami cudzoziemcy.

– Panie pułkowniku, porucznik Gael Lescout melduje się – rzekł spokojnym głosem dobrze zbudowany oficer.

Chociaż wygląd jego twarzy sugerował kogoś dużo starszego, to w rzeczywistości miał około trzydziestu lat; kilkudniowy zarost, niewielki, starannie ukryty z boku szyi tatuaż prezentujący rozwinięte orle skrzydło, ciemne bujne włosy oraz bystre, taksujące spojrzenie sprawiało, że mało, kto odgadłby, iż jest żołnierzem.

– Spocznij poruczniku – powiedział basowym głosem mężczyzna ubrany w połowy mundur, siedzący za dębowym stołem. – Gratuluję ukończenia kursu podstawowego.

– Dziękuję.

– Jak zapewne wiesz, operacja *Serwal* jeszcze się na dobre nie zakończyła, a Ministerstwo Obrony pod presją opinii publicznej już myśli o ogłoszeniu pełnego zwycięstwa. Nie możemy im na to pozwolić, przynajmniej dopóki nie będziemy pewni wygranej. Nie pozwolę, aby cały ten burdel w Mali zakończył się drugim Afganistanem. Ci idioci nie zdają sobie sprawy, że dopiero teraz rozpocznie się jatka.

– Rozumiem – przytaknął Gael.

– Minister Obrony czeka na raport, mamy mu dostarczyć danych wywiadowczych. Twój zespół się tym zajmie.

– Co dokładnie mamy zrobić?

Pułkownik wstał za biurka i podszedł do mapy prezentującej cały świat.

– Szczegółów dowiesz się później. Najważniejsze jest jednak to, że nie będziecie działać w standardowy sposób. Mówiąc w skrócie będziecie wspierać CIA podczas ich zadań w Mali. Rozkazy otrzymacie od nich.

Pułkownik spojrzał uważnie na porucznika jakby czekając na jego reakcję.

– Amerykanie w Mali? Wywiad? Nie jestem...

– Nie chcę słyszeć, żadnego narzekania – pułkownik przerwał mu stanowczo.

– Tak jest.

– Amerykanie nie chcą oficjalnie mieszać się w konflikt, ale z dobrze poinformowanych źródeł wiem, że w kopalniach soli w Taoudenni odkryto prawdopodobnie skład z bronią chemiczną dostarczoną dla rebeliantów. Wywiad twierdzi, że stoją za tym Rosjanie. O szczegółach, jak już wcześniej powiedziałem, dowiesz się od Amerykanów.

– Kiedy wylatujemy?

– Masz dwa dni na dobranie najlepszych ludzi. Dzisiaj jeszcze spotkasz się z agentami CIA.

– O której odprawa?

– O 18.00 w sali 127 – pułkownik zasiadł za biurkiem i wyjął kasetkę z cygarami. – Zapalisz?

– Nie, dziękuję.

– Słuchaj Gael, tak między nami to nie podoba mi się całe to zamieszanie. Z tego, co udało mi się dowiedzieć to wiem, że nie jedziecie tam walczyć. Przygotujcie się do działań dywersyjno-rozpoznawczych. Dobierz ludzi urodzonych w Mali, oczywiście o ile jest to możliwe.

– Czy to nadal jest nasza operacja wojskowa pułkownika?

Pułkownik podszedł do niego na tyle, blisko, że Gael poczuł jego oddech na policzku.

– Tak i nie – szepnął. – Będziecie oddelegowani pod dowództwo USA. Jednak raporty składasz mnie oraz stronie amerykańskiej. Pozostanie to między nami, jasne?

– Oczywiście.

– W razie pytań, wiesz gdzie można mnie znaleźć.

– Tak jest.

– To wszystko.

Gael szybkim krokiem wyszedł ze sztabu. Należał do specjalnej grupy komandosów spadochroniarzy, liczącej trzydziestu żołnierzy. Często powierzano im zadania specjalne: wsparcie dla wywiadu lub dywersję na dalekich tyłach wroga. Jednakże nigdy nie byli przekazywani pod dowódzenie obcego wywiadu. Do porucznika podbiegł niski, dobrze zbudowany, łysy mężczyzna.

– Jakie zadania? – zapytał.

– Zbierz ludzi. Najlepiej rdzennych mieszkańców Mali. Muszą dobrze znać teren operacji, język, kulturę itp. Wylatujemy za dwa dni.

– Teren działania, rozkazy?

– Afryka, podobno wsparcie wywiadowcze dla Amerykanów.

– Co kurwa? – zdziwił się.

– Nie znam jeszcze szczegółów. Dzisiaj mamy spotkanie z amerykańcami. .
Wieczorem zrobimy odprawę – rozmawiali maszerując wzdłuż wojskowych baraków.

– Czas do wyjazdu?

– Czterdzieści osiem godzin. Teraz to pewnie czterdzieści siedem godzin i trzydzieści minut – spojrzął na zegarek. – Bądźmy gotowi jeszcze dzisiaj. Lepiej dmuchać na zimne. Zapakujcie wszystko, co będzie nam potrzebne do działania w nocy, w warunkach pustynnych, w mieście oraz pod ziemią.

Minęli wojskową kantinę oraz grupę młodych żołnierzy zamykających chodnik.

– Jasne. Coś jeszcze?

– Pchła, słuchaj nie wiem, co jeszcze – zatrzymali się i popatrzyli sobie w oczy. –
Wieczorem będę wiedział. Idź zbierz ludzi.

– Wszystkich?

– Tak, jak będziecie gotowi czekajcie na mnie w hangarze.

– Robi się.

Żołnierz, na którego wszyscy mówili Pchła, zrobił regulaminowe w tył zwrot i odszedł szybkim krokiem. Gaela nurtowała myśl:

„Co takiego CIA szuka w Mali? W kraju, gdzie oprócz piasków Sahary, wiecznej suszy i pyłu w ustach nie ma nic. Żadnych surowców naturalnych. Na pewno nie jedziemy tam szerzyć demokracji. Z tego, co mi wiadomo, ona już tam jest, przynajmniej na papierze. Pieniądze tworzą wygranych a ludzie, to tylko ozdoba dla całej maskarady.”

Gael świetnie zdawał sobie z tego sprawę, ale jako żołnierz udawał, że bawi się w ten cały patriotyzm oraz szanuje bezpieczeństwo narodowe. Tak na wszelki wypadek.

– Gael – krzyknął żołnierz podbiegając do niego – szukałem cię.

– Co się stało, Tusambe? – wyciągnął rękę i przywitał się z wysokim, proporcjonalnie zbudowanym Afrykańczykiem.

– Masz się stawić u dowódcy. Podobno pilne.

– Byłem u niego przed chwilą.

– Tak wiem, ale kazał mi ciebie zawrócić. Nie patrz tak na mnie, nie wiem, o co chodzi.

– Och, kurwa! – Gael zaklął pod nosem.

– To podobno pilne.

– Jasne... – odparł Gael, po czym truchtem skierował się do dowództwa.

Wbiegł na pierwsze piętro mijając innych żołnierzy. Pod drzwiami gabinetu pułkownika Blancharda, stało dwóch, ubranych po cywilnemu, wysokich mężczyzn wyglądających na czterdzieści lat. Pierwszy z nich był zarośnięty z wyeksponowanym brzuchem, drugi był elegancko przystrzyżony i uważnie rozglądał się wokół.

– Cześć – rzekł – czekacie na spotkanie z pułkownikiem Blanchardem?

– Mhm – mruknął grubszy. Drugi nic nie odpowiedział.

– Uhum, ależ jesteście rozmowni – odparł Gael uśmiechając się.

Mężczyźni stali jak głazy, a ich usta nawet nie drgnęły, najwyraźniej nie udzielił się im wesoły nastrój porucznika. Prawdopodobnie poczucie humoru nie należało do mocnej strony żadnego z nich.

– Zapraszam! – usłyszeli stłumiony głos zza drzwi gabinetu.

Mężczyźni weszli do środka.

– Porucznik Lescout również!

Pułkownik siedział za biurkiem, gestem ręki wskazał im miejsca.

– Proszę się rozgościć – rzekł spokojnym głosem. – Poruczniku, oto agenci CIA: panowie David Fox – wskazał dłonią na osobnika z wydętym brzuchem – oraz Terry Golioza. Panowie, oto porucznik Gael Lescout, dowódca specjalnej grupy bojowej.

– Pułkowniku – zaszalutował Gael.

– Panowie proszę o przedstawienie sytuacji – zwrócił się do agentów Blanchard, równocześnie dając znać porucznikowi, aby spoczął.

– Nie będziemy się rozwodzić. Nastąpiła zmiana planów, dzisiaj wylatujemy. Operacja nosi kryptonim *Falling Sky*. Nasze satelity wykryły niebezpieczne promieniowanie na pustyni w okolicach Taoudenni. Zdjęcia nie wyodrębniły żadnych struktur na powierzchni. Podejrzewamy, że promieniowanie pochodzi z szybu kopalni. Jak wiadomo, w Taoudenni wydobywano sól. Aktualnie większość mieszkańców opuściła wioskę, a ci, którzy tego nie zrobili umarli z powodu choroby popromiennej. Niczego nie dowiecie się od miejscowych, gdyż sprawę stara się wyciszyć rząd malijski, a miejscowi przypisują wymarcie wioski duchom Mantidane.

– Mantidane? – wtrącił Gael.

– Nie wnikałem w szczegóły. To jakieś miejscowe zabobony – odparł z wyczuwalną ironią w głosie Fox.

– Rozumiem, że wioska została opuszczona.

– Nie do końca. Możecie napotkać szabrowników lub przemytników jendak większość kopalni jest już nieczynna, co czyni je wysmienitym miejscem do ukrywania zapasów broni, amunicji lub substancji niebezpiecznych. Waszym zadaniem będzie rozpoznanie obiektu, zabezpieczenie oraz sprawdzenie, co dokładnie wykryły satelity.

– Rozumiem, że to typowa misja wojskowa – rzekł porucznik przyglądając się uważnie agentom CIA.

– Tak i nie. Żadnych rozpoznawalnych mundurów, nazwisk, emblematów. To cicha operacja panie poruczniku – rzekł Fox prawie szeptem. – Bez raportów, akt, rozgłosu. Ta misja nie istnieje. To ważne dla bezpieczeństwa międzynarodowego, szczególnie dla operacji NATO w Libii i w Mali.

Gael spojrzął na pułkownika, jakby czekając na potwierdzenie tych słów.

– Oficjalnie, poruczniku Lescout – rzekł wolno pułkownik – jedziecie, jako szkoleniowcy pomagać armii malijskiej. Chociaż nie wiemy czy i ta wersja nie ulegnie zmianie.

– Rząd Francuski oraz Amerykański wymagają od nas pełnej dyskrecji – dodał David Fox. – Tuaregowie mogą zareagować nieprzychylnie na wieść o tym, że USA angażuje się w konflikt. Z kolei nasza opinia publiczna ma już dość wojen. Nie chcemy narażać obywateli francuskich i amerykańskich przebywających w krajach islamskich na zemstę bojówek terrorystycznych. Musimy to ukryć. Dyskrecja i zaskoczenie mają w tym przypadku zasadnicze znaczenie. Czy to jasne?

– Oczywiście – odparł porucznik.

„Kolejne farmazony w stylu bezpieczeństwa narodowego”, pomyślał w duchu. „Łamiemy prawo w imię wyższych racji. Cudownie!”

– Wylatujemy o godzinie 19.00 – wtrącił szybko Golioza. – Ponieważ nie chcemy zwracać na siebie zbytnej uwagi, dlatego proszę o zabranie nie więcej, niż sześciu ludzi.

– Moja sekcja bojowa liczy dziesięciu, a cała grupa trzydziestu – rzekł stanowczym tonem porucznik Lescout.

– Teraz to jest nieistotne. Proszę zabrać maksymalnie sześciu. Im mniej, tym lepiej dla tej misji – wtrącił się do rozmowy pułkownik.

– Rozumiem. Czy coś jeszcze? – zapytał Gael czując, że jego protest na niewiele się zda.

– Dodatkowe niezbędne informacje zostaną wam przedstawione w samolocie. Zostaje pan, zgodnie z ustaleniami, oddelegowany pod dowództwo CIA. Od tej chwili jestem pana przełożonym – powiedział Fox wyciągając papierosa.

Gael dyskretnie zerknął na pułkownika, dostrzegając jak na jego twarzy zarysowujące się zmartwienie.

– Zgadza się – wtrącił pułkownik.

– Dobrze. Przygotuję ludzi – odparł Gael.

– To wszystko poruczniku. Proszę nas zostawić samych – oznajmił pułkownik.

– Do zobaczenia na lotnisku – powiedział Fox wstając z krzesła i podchodząc do okna z zapalonym papierosem.

– Panowie – Gael zasalutował, po czym wyszedł.

W imponującym hangarze swobodnie zmieściłyby się dwa samoloty transportowe typu Herkules. Żołnierze przygotowywali się do wyjazdu pakując plecaki, sprawdzając broń oraz licząc amunicję. Słońce wysoko widniało na niebie przypiekając metalowy dach w nadziei, że uda się go roztopić.

– Zbierać się, zbierać! – ponaglił wszystkich Gael wchodząc do środka.

– Jest i dowódca! – krzyknął Pchła.

– Startujemy o 19.00. Żadnych mundurów, same cywilne szmaty. Jedzie sześciu.

Żołnierze przerwali pracę i spojrzeli zaciekawieni.

– Jak to? Od kiedy dzielimy sekcję? – zapytał Juri, wysoki blondyn o niebieskich oczach. Młody, ale doświadczony wojownik. Rosjanin.

– Od teraz. To nie mój pomysł. Leci Pchła, Juri, Tusambe, Kolbert oraz Albeme. Kończcie się pakować, reszta, pomóc im – zaordynował.

– Co z resztą? – zapytał Pchła.

– Będzie czekać w rezerwie. Macie być przygotowani do wylotu w każdej chwili.

– Misja? – spytał Tusambe.

Porucznik usiadł na krześle spoglądając na wszystkich. W jego oczach malowała się niepewność, którą skrzętnie próbował ukryć.

– Oficjalnie lecimy, jako instruktorzy na misję szkoleniową do Mali. Będziemy wspierać ich szkoleniowców.

– Pierdolenie, a tak poważnie? – zdenerwował się Pchła.

– Tak poważnie to i ja nie wiem, o co chodzi. Przygotujcie sprzęt do działań w jaskiniach. Prawdopodobne skażenie, broń chemiczna i takie tam.

– Czyli wszystko jasne – rzekł Tusambe marszcząc brwi.

– Co jasne? – zapytał Pchła.

– Skoro nic nie wiadomo, to pewne jest, że misja jest nieoficjalna. Tak jak w Libii – burknął Tusambe wyraźnie niezadowolony.

Do grupy żołnierzy podszedł wysoki Murzyn. Rzucił swój duży, dokładnie spakowany plecak na ziemię.

– Jestem gotów – rzekł.

– Wychowaliście się w Algierii – rzekł Gael spoglądając na Tusambe i Albeme. Jak dobrze znacie Tuaregów?

– Dość dobrze. Co prawda razem z bracholem – Tusambe spojrzął na Albeme – należeliśmy do plemienia Dogonów, rdzennej kultury Afrykańskiej to mieliśmy styczność z Tuaregami. To głównie muzulmanie. Koczownicy. Jeśli się nie mylę to do chwili obecnej starają się, wskrzesić swoje państwo Azawad.

– Są bardzo waleczni, fanatyczni, ale słabo uzbrojeni. Byli wykorzystywani do walki po stronie „rewolucjonistów” w Libii – dokończył Albeme.

– Mówcie dalej – poprosił Gael opierając się o ścianę hangaru, bujając się na krześle.

– Jesteś naszym dowódcą od miesiąca – odparł Albeme spokojnym głosem, – dlatego niewiele jeszcze wiesz. – Kiedy wysłano nas do Libii, naszym zadaniem było wesprzeć wiedzą i szkoleniami Tuaregów, aby walczyli z Kadafim. Wyszkoliliśmy ich, daliśmy im broń. Rząd Francuski oraz Amerykanie i Brytyjczycy. Z tego, co mi wiadomo wojna w Libii się skończyła, a Tuaregowie chcą również coś dla siebie.

– Czemu Azawad? – zapytał porucznik.

– To nazwa regionu w północnym Mali, obejmuje tereny saharyjskie, leżące na północ od Timbaktu – wtrącił Tusambe.

– To w języku Tuaregów oznacza krainę transhumancji, czyli miejsca wypasania bydła. Tuarescy rebelianci z Narodowego Ruchu Wyzwolenia Azawadu przyjęli to, jako nazwę dla nowego państwa – dodał Albeme.

– Czy to ważne? Jedziemy tam, robimy swoje i wracamy – przerwał im Pchła.

– Tylko nikt nie wie, co – dopowiedział Juri przysłuchując się uważnie rozmowie.

– Dowiedcie się niedługo. Szczegóły misji podadzą nam w samolocie – uspokoił ich Gael. – Zbiórka o godzinie 18.30 w hangarze. O 19.00 wylatujemy. Jeszcze raz sprawdźcie wszystko. Teraz was zostawiam, mam parę spraw do załatwienia. Jakby było coś pilnego, łąpać mnie na komórkę. Wszystko jasne?

– Tak – odpowiedzieli zgodnie żołnierze.

– Trzymajcie się – rzekł Gael wychodząc z hangaru.

* * *

Kawiarnia Bar Du Port w centrum Calvi słynie z tego, że w godzinach popołudniowych trudno o wolne miejsce. Słynne wypieki, ciasta oraz polewy cukrowe wraz z lodami są atrakcją turystyczną tego niewielkiego miasteczka. Mnogość smaków i potraw urozmaica przepiękny widok na morze Śródziemne. Zaraz obok znajduje się wiecznie zapchany port dla łodzi motorowych. Jest to idealne miejsce na leniwe rozmowy, odprężenie po pracowitym dniu lub po prostu posmakowanie czegoś zupełnie nowego.

Gael podszedł do małego drewnianego stolika na zewnątrz kawiarni i usiadł.

Przed nim rozpościerał się widok na zatłoczony port. On tymczasem niecierpliwie rozglądał się wokół, uderzając palcami o drewniany blat.

– Dzień dobry. Co pan sobie życzy? – uprzejma ciemnowłosa kelnerka, uśmiechała się do niego zalotnie.

– Poproszę ciastko. Szarlotkę z lodami, do tego woda z cytryną – odpowiedział.

– Woda gazowana?

– Tak.

– To wszystko?

– Na razie tak. Dziękuję.

– Za chwilę podam – odparła kelnerka z gracją odchodząc od stolika.

Ludzie, w większości turyści, przewijali się przez kawiarnię z regularnością produktów przesuwających się na fabrycznej taśmie. Gwar rozmów, śmiechy oraz brzęk szkła wypełniały powietrze i niosły się z lekkim wiatrem poruszającym palmy. Było słonecznie i ciepło, ale nie za gorąco.

– Wybacz za spóźnienie – rzekł starszy człowiek ubrany w hawajską koszulę oraz wysłużony kapelusz. Na nosie miał okrągłe okulary przeciwsłoneczne, a w ręku trzymał teczkę z dokumentami. Wyglądał nieco komicznie.

– Jasne. Ważne, że jesteś, Xavier – odpowiedział Gael uśmiechając się.

Zasiedli razem przy stoliku. Xavier wziął do ręki kartę dań, a następnie spojrzał na Gael'a.

– Sprawdziłem to, o co mnie prosiłeś. Niezły burdel swoją drogą – powiedział.

– Opowiadaj.

– Lubisz narkotyki? Zapalisz trawkę, albo w żyłkę zapodasz? – zapytał ironicznie.

– Słucham? Wiesz, że nie łykam tego gówna.

– To może zaczniesz, łatwiej ci będzie rozpoznać – uśmiechnął się wyciągając papierosa.

– Do rzeczy – ponaglił go Gael.

– Obawiam się panie poruczniku, że twoim przełożeni to kłamczuszki. Co prawda, nie mam pojęcia, po co tam lecicie, ale na pewno nie po to, aby wspierać demokrację i cały ten burdel.

– Xavier, ja pierdolę demokrację – prychnął Gael lekko podirytowany. – No mówże o co chodzi!

Mężczyzna odłożył kartę dań nachylając się w jego kierunku.

– O narkotyki – szepnął. – Duuuuży biznes. Cała ta zadyma w Mali, to po prostu ochrona interesów. Okazało się, że lokalni watażkowie, których, jak zapewne wiesz, wyszkolili amerykańanie do walki z Kadafim, też chcą mieć swój udział w zyskach. Przez Mali wiedzie szlak handlu koką i amfetaminą. Do tego dochodzą jeszcze źródła i możliwość wydobycia uranu, złota oraz ropy.

– O czym ty mówisz? – zapytał z niedowierzaniem. Był przekonany, że Mali to jedynie pustkowie zamieszkane przez dzikusów.

– O czarny budżet na czarne operacje. To samo co w Wietnamie. Wiem to stąd, że kilku wysoko postawionych agentów Narodowej Agencji Bezpieczeństwa zaczęło sypać. Teraz to już niewiele powiedzą – zaśmiał się Xavier. – Pułkownik Edward Coel miał nieszczęśliwy wypadek zakończony śmiercią. Wydarzyło się to podczas ćwiczeń wojskowych w Anglii po tym, jak wraz z kilkoma kolegami oskarżyli CIA oraz Pentagon o handel narkotykami, w który mieli zostać zaangażowani.

– Chcesz mi, powiedzieć, że jedziemy tam zabezpieczyć towar? Po co by angażowali do tego wojsko francuskie? Mają swoich ludzi. To bez sensu.

– Mali to nadal teren wpływów Francji – odrzekł spokojnie Xavier. – Muszą się z nimi liczyć. Każdy z tego coś ma. Wy nawet nie dowiecie się, o co chodzi. Zareagują coś w stylu, no proszę handel narkotykami, trzeba to zabezpieczyć i zniszczyć. Gównu będziesz wiedział, co się z tym potem stanie.

– To wszystko robi się niedorzeczne.

– Pracowałem w agencji wywiadu czterdzieści lat. Nie takie rzeczy się robiło. Chciałeś wiedzieć po co CIA angażuje się w konflikt w Mali. Masz odpowiedź. Nie mam twardych dowodów. Popytałem. Miałem na to, hmm pomyślmy, dwie godziny. Chyba tyle czasu minęło odkąd do mnie zadzwoniłeś?

– Tia – westchnął Gael. – Mam to gdzieś, co oni tam robią. Ważne jest tylko to, że będzie w miarę bezpiecznie. Przemysłowcy narkotyków nie należą do elity wojskowej. Jeśli masz rację, to wiem czego się spodziewać.

– Nie ufasz swoim przełożonym?

– Niewiele mi mówią. Jestem nowy, ale mimo to, dziwne to wszystko.

– Nie wiedzą, czy mogą ci ufać. Ponadto, nikt nie rozpowiada wszystkim uczestnikom operacji: hej, jedziemy przeprowadzać nielegalne działania dla CIA, tylko nikomu nic nie mówcie. To byłoby niedorzeczne. Żołnierze wykonują rozkazy. Wy nie jesteście od myślenia – zaśmiał się.

– Masz rację. Myślący żołnierz stanowi problem. Znam to z doświadczenia. Całkowici idioci również nie wróżą niczego dobrego.

– W tym rzecz. Nie wiesz za kogo oni was uważają – Xavier wybuchł śmiechem.

– Mimo wszystko dzięki.

Zgrabna kelnerka postawiła zamówienie na stoliku. Rozmówcy umilkli.

– Czy mogę przyjąć od pana zamówienie? – zapytała Xaviera.

– Poproszę to samo, co ten młodzik – wskazał palcem na porucznika.

Kelnerka uśmiechnęła się.

– To wszystko?

– Tak, dziękuję młoda damo – rzekł wdzięcząc się Xavier.

Odpowiedziała uśmiechem i odeszła.

– Jeszcze pięć minut, a zostałaby twoja żona – zaśmiał się Gael.

Xavier poprawił swoje ubranie i rozsiadł się wygodnie.

– Martwisz się, że stanie się to samo, co z twoim ojcem – powiedział łagodnie. – Znikniesz bez śladu?

– To przeszłość. Nie wracajmy do tego. Pracowaliście w CIA. Wiedział, na co się pisze – odburknął niesympatycznie.

– To nie była moja wina – odrzekł Xavier czerwieniąc się. – Wiesz, że traktowałem go jak brata.

– Przepraszam – odparł łagodniej Gael – Nie chciałem cię zdenerwować. Kiedy o nim myślę, to czuję się tak jakby to wszystko działo się wczoraj. Minęło tyle lat, a ja nadal, może

to dziwne, ale za nim tęsknię. Mama za nim tęskni – Gael przecierając źrenice starał się zamaskować napływające do oczu łzy.

– Wiem, tamta sprawa ciągle leży nam na sercu, dlatego uważaj na siebie – rzekł Xavier udając, że niczego nie zauważył.

– Xavier, – wykrztusił z siebie słowa Gael – gdybym nie wrócił lub coś dziwnego się wydarzyło, to zaopiekujesz się matką? Dobra?

– Przestań dramatyzować. Jednak, jeśli coś poszłoby nie tak, to zaopiekowałbym się nawet twoim kotem.

– Nie mam kota – odparł z krzywym uśmiechem Gael.

– Wiem – zarechotał Xavier, po czym spowaźniał. – Obiecałem twojemu ojcu, że zajmę się tobą i Simone – powiedział Xavier nachylając w kierunku Gaela. – Mimo to, miej oczy szeroko otwarte.

– Będę czujny.

– Poinformowałaś matkę, że wylatujesz?

– Dzwoniłem do niej, ale nie odbierała.

– Nie martw się tym, poinformuję ją, gdybyś nie miał okazji. Pewnie wołałaby usłyszeć to od ciebie, ale nie zawsze mamy taką możliwość, prawda?

– Tiaa.

Milczeli pozwalając, aby morska bryza targała ich za włosy. Ozłoceni rumieniącym się na wschodzie Słońcem, napawali się pięknym widokiem tańczących na wietrze palm.

– Jak się czuje? – odezwał się Xavier.

– Nie wiem, ale lekarze obawiają się, że to nowotwór złośliwy.

– Hmm, paskunda sprawa – Xavier zamruczał niczym niedźwiedź. – Dowiem się, co i jak, i zadzwonię.

– Dzięki – odparł Gael zerkając na zegarek. – Muszę się zbierać. Za kilka godzin ruszam, a nawet się nie spakowałem. Dzięki za pamięć o Simone.

– Nie ma za co. Trzymaj się – rzekł Xavier wstając z krzesła i podając rękę.

– Do usłyszenia stary druhu – odpowiedział Gael wychodząc z restauracji.

– No tak, a zapłacić to zapomniał – mruknął Xavier kładąc kilka euro na stół.

Gael szybkim krokiem skierował się w kierunku motocykla. Miał mało czasu na przygotowania. Oddalił się z bazy bez powiadomienia przełożonych. Wiedział, że współpraca z CIA niczego dobrego nie wróżyła. Jego ojciec do dnia dzisiejszego nie został odnaleziony po jednej z licznych operacji. Matka załamała się po tym wydarzeniu. Byli ze sobą bardzo związani. Miał wtedy dwanaście lat. Za namową i z pomocą Xaviera dostał się do szkoły oficerskiej. Jednak jego mentalność nie pasowała do wojskowego drylu. Zawsze starał się wykraczać poza standardowe rozumienie rzeczywistości, zadawał pytania, kwestionował autorytety. Mimo, że doktryna wojskowa dążyła do ideału nowoczesnego, inteligentnego żołnierza, to rzeczywistość weryfikowała te pomysły. Po kilku latach służby, przeniesieniu do Legii Cudzoziemskiej zrozumiał jedno – inteligentny żołnierz, to problem dla dowódcy.

Gael bardzo dobrze wiedział, że wyjazd do Afryki zmartwi jego matkę. Został jej tylko on, a służba wojskowa oddzieliła ich od siebie. Ale nie mógł zostać niańką swojej rodzicielki – pomagał jej na tyle, na ile mógł. Z racji tego, że mieszkała w Paryżu rzadko, kiedy znajdował czas na to, aby ją odwiedzić.

Zapiął kask, założył rękawice i odpalił silnik. Manetka z gazem pociągnięta do siebie sprawiła, że silnik głośno zawył dając znak, że jest gotowy do szaleńczej jazdy. Motor ruszył z piskiem opon. Gael wynajął mieszkanie niedaleko portu, a zrobił to, bo lubił szum fal i krzyki mew. To go uspokajało. Szybko mijał korki uliczne, błyskawicznie pokonując labirynt ulic,

zostawiając po sobie tylko głośny warkot silnika i dymek spalin. Dotarcie do mieszkania zajęło mu kilkanaście minut.

– Cholera – rzekł Gael spoglądając na telefon – pięć nieodebranych.

Oddzwonił.

– Szukają cię. Jakiś David Fox. Nie wiem, co mam mu powiedzieć – rzekł Pchła.

– Powiedz mu, że zaraz będę. Czego chce?

– Raportu z przygotowań. Wylatujemy za niecałe trzy godziny. Jakaś zmiana planów. Nie wiem, o co chodzi.

– Kurwa! Powiedz mu, że wszystko będzie na czas. Niech nie zawraca mi dupy. Na razie.

– Jasne.

„Życie na smyczy”, pomyślał wchodząc do niewielkiego, dwupokojowego mieszkania. Jak zawsze panował tu duży nieład. Rzadko kiedy bywał w domu i nie chciał mu się tracić czasu na sprzątanie. Wszedł do sypialni, zabrał niezbędne przybory toaletowe oraz kilka drobiazków, które mogły się przydać poza domem. Spakował to wszystko w niewielki wojskowy plecak. W trakcie przetrząsania zakamarków na podłogę wypadło zdjęcie Vanessy, byłej dziewczyny. Uśmiechnął się pod nosem. Wspomnienia powróciły ze zdwojoną siłą. Rozstali się kilka miesięcy temu, ponieważ jak twierdziła, wojsko przysłoniło mu cały świat. Pragnęła, aby wyjechał z nią do USA i pomógł jej w prowadzeniu firmy: agencji reklamowej. Do dnia dzisiejszego nie jest pewien czy dobrze postąpił. Schował fotografię do szuflady. Postanowił pozostawić ten rozdział prywatnego życia daleko za sobą.

Wyjął telefon i wybrał numer do matki. Kilkanaście wolnych sygnałów, nie odbierała. Mam nadzieję, że Xavier załatwi to za mnie, pomyślał.

Żołnierze spakowali ekwipunek najszybciej jak mogli. Gotowi do wyruszenia czekali na przyjazd swego dowódcy. Niektórzy kręcili się zniecierpliwieni, inni nudzili się leżąc na bagażach, a część z nich bawiła się telefonami.

– Ciekawe jaki z niego twardziel? Francuzi mianują dowódcami tylko swoich rodaków. Widzieliście, aby kiedykolwiek dowodził nami chociażby Rosjanin? – pytał Pchła kumpli zgromadzonych przy bagażach.

– Jakby nie patrzeć należymy do francuskiej armii, to i co w tym dziwnego? – skwitował Juri.

– Wy, Rosjanie macie takie chujowe podejście, podporządkowanie władzy – rzekł Kolbert.

– Dzięki temu Rosja do dnia dzisiejszego jest wielka – odparł Juri.

– Skoro tak jest tam dobrze, to czemu służysz Francji? – zapytał Tusambe.

– Moja sprawa. Poza tym lepiej płacą – odburknął.

– A vive la France? Nic z tych rzeczy? – zapytał Pchła.

– Oczywiście. Zdjęcie Hollanda noszę w portfelu. W ogóle to, odpierdolicie się ode mnie – warknął Juri na kolegów.

– Ja tam lubię takie operacje specjalne, robota ciekawa, adrenalina i takie tam. W domu nie mogę wysiedzieć – Pchle zebrano się na zwierzenie.

– Zobaczmy, co to za misja – rzekł Tusambe układając się na plecaku.

– Przyjedzie wódz, to wszystko powie – skwitował całą sytuację Kolbert.

– Albeme, a ty co tak cicho siedzisz? – zapytał Juri.

– Gadacie od rzeczy – odpowiedział.

– Cicho. Porucznik przyjechał – ostrzegł Pchła, podrywając się na nogi.

Gael wszedł do hangaru lustrując wszystkich wzrokiem. Rzucił swój plecak na ziemię przy reszcie bagaży.

– Gotowi? – zapytał.

– Tak. Do wylotu została niecała godzina. Szukał cię ten Amerykanin, Fox. Powiedziałem mu, że wszystko gra – poinformował Pchła.

Gael podszedł do swojej szafki z ekwipunkiem wojskowym. Rozpoczął pakować sprzęt taktyczny do dużego transportowego plecaka. Wiedział, że kazali mu niczego nie zabierać, ale lepiej dmuchać na zimne.

„Własny sprzęt to jednak własny sprzęt” – pomyślał wrzucając pistolet SIG Sauera P226 do plecaka.

– Odczepił się? – zapytał.

– Tak.

– Gdzie macie magazynki?

– Tam w skrzyni – odparł Kolbert wskazując ręką dużą skrzynię.

– Biorę pięć. Potem oddam – powiedział porucznik podchodząc do metalowego pojemnika.

– No to zapowiada się na szturm – zaśmiał się Tusambe.

– Na wszelki wypadek – oznajmił Gael spoglądając na wszystkich żołnierzy.

– Poruczniku – do hangaru wszedł młody żołnierz – to dla pana, rozkazy.

– Rozkazy? – zdziwił się. – Dzięki – odpowiedział po czym odebrał kopertę. W środku znajdowała się niemalże pusta, pojedyncza kartka formatu A4.

– Dziwny ten rozkaz.

– Zatem co to jest? – zapytał Pchła

Żołnierze podeszli do porucznika i z zainteresowaniem spojrzeli na pojedynczą kartkę. Wyglądał jak prosta instrukcja. Porucznik przeczytał treść notatki: *godzina 23.00, lotnisko w Ajaccio. Żadnych rzeczy. Terminal numer 5. Czekajcie na znak od Otello.*

– To chyba jakiś żart – powiedział Pchła, biorąc kartkę do ręki.

– Otello? Dzwonię do tego naszego nowego dowódcy – rzekł Gael – Cholera! Nie mam nawet jego numeru. Pchła, dzwonił do ciebie, ten Fox?

– Nie. Dyżurna służba operacyjna mi przekazała, że mam się z nim skontaktować. Potem przyszedł na chwilę do hangaru, abym zdał mu raport.

– Ja też nie ma, mmieliśmy się spotkać na odprawie. Wiem, co zrobimy.

Porucznik bez zastanowienia chwycił za telefon po czym zadzwonił do starego dowódcy.

– Pułkownik Blanchard, słucham – zabrzmiał głos w telefonie.

– Panie pułkowniku, porucznik Lescot. Otrzymaliśmy kartkę z dziwnym rozkazem. Proszę o potwierdzenie.

– Gael, nie jestem już twoim dowódcą, więcej do mnie nie dzwoń. Waszym nowym przełożonym jest David Fox – rzekł Blanchard rozłączając się.

– Przyjemny ten wasz pułkownik – mruknął Gael.

„Czego się tak wystraszył?” – pomyślał.

– To stary trep – stwierdził Pchła spluwając na ziemię.

– Rozkaz jest jasny – dodał Gael.

– Jedziemy wszyscy, czy wybrana szóstka? – zapytał Kolbert.

– Sześciu i po cywilnemu. Zostawcie cały sprzęt. Kurwa! To nas załatwili, cywilny samolot z Ajaccio! – zdenerwował się Gael. – Jeśli nie macie pytań to widzimy się o 22.00 na lotnisku.

– Pierwszy raz w życiu uczestniczę w takiej pojebanej operacji – wtrącił Albeme wyraźnie niepokieszony z takiego przebiegu spraw.

– Ja też a jestem w służbach specjalnych osiem lat – dodał Kolbert.

– Nie dyskutujemy o tym. Dowiemy się wszystkiego za jakiś czas. Mam dla was dzisiejszy rozkaz, gdyby ktoś chciał się z nim zapoznać – rzekł Gael wyjmując z plecaka dokumenty.

– Czytałeś go? – zapytał Pchła.
– Jeszcze nie miałem czasu – odparł porucznik. – Major kazał wam go przekazać. To kopia.
– Pokaż mi – rzekł Juri. – Za ostatnią misję wiszą mi kasę i dni wolne. Ciekawe, czy to ujęli.
– Juri przeczytaj na głos, będzie szybciej – ponaglił Pchła.
– Chwilka. Dni wolne – rzekł Juri szukając palcem odpowiedniego punktu w rozkazie. – Kurwa! Nie uwierzycie! – krzyknął.
– Co takiego? – zapytali prawie zgodnym chórem.
– Od dzisiaj jesteśmy na urlopie.
– Co ty bredzisz! – krzyknął Pchła, wrywając mu rozkaz. – Faktycznie.
Gael podszedł do żołnierzy.
– Pokażcie mi to.
– Tutaj – wskazał palcem Pchła.
– Zgadza się. Co tu się kurwa dzieje? – mruknął.
– Też chciałbym wiedzieć, robi się coraz ciekawiej – westchnął Tusambe.
– Pieprzyć to – warknął pod nosem Gael otwierając metalową szafkę. – Jedziemy na wakacje – dodał spoglądając na wszystkich, a następnie wyjął z plecaka spluwę z magazynkami i schował do szafki.
– Może to jakiś test? – Juri postanowił zabawić się w detektywa.
– Teraz to i tak nieistotne – odparł Gael. – Przepakujcie się. Widzimy się o 22.00 na lotnisku. Musimy się pośpieszyć. Jest godzina 18.57 a do Ajaccio jest około stu kilometrów.
– Spierdalamy! – podsumował wszystko Pchła.
– Może zabierzemy się wszyscy razem? – zapytał Tusambe.
– Jadę motorem. Organizujcie się sami. Powodzenia, ach i nie zapomnijcie kąpielówek – rzekł Gael zarzucając plecak na ramię, a następnie opuścił hangar.

Droga do Ajaccio prowadziła przez kręte drogi korsykańskiej wyspy. A ta, ze względu na swoje położenie, odkąd świat sięga pamięcią, stanowiła ważną bazę dla sił zbrojnych. W swojej ziemi, przesiąkniętej krwią poległych, skrywana jest pamięć licznych, brutalnych bojów pomiędzy włoskimi państwami, a Francją. Do dnia dzisiejszego marzenia ojców i dzieci dawnych rewolucjonistów nie zostały zapomniane. Dążenia są do tego stopnia poważne, że na wyspie wykształciły się dwa ruchy separatystyczne, Armata Corsy i Front Narodowego Wyzwolenia Korsyki. Wolność, równość, niepodległość, hasła Rewolucji Francuskiej, wdarły się gwałtem w serca korsykańskich obywateli i nie miały zamiaru ich opuścić.

Po prawej stronie jadącego na motorze Gaela, pysznił się czerwieniami zachód słońca. Jednak nie było mu w głowie teraz napawanie się pięknymi widokami. Cała ta sytuacja nie dawała mu spokoju. Dla niego była to maskarada przypominająca bal maskowy, podobny do tych, jakie urządzano w Wenecji. Czuł się trochę jak bohater powieści Aleksandra Dumasa – niczym Edmund Dantes pędził w nieznaną na spotkanie przygody. Nowa misja ciekawiła go, jak i napawała niepokojem.

„Ciche operacje mają to do siebie, że w razie kłopotów nikt się za żołnierzami nie wstawi. Działania CIA są o tyle tajemnicze, że nawet pułkownik nie wiedział, o co dokładnie chodzi. Amerykanie całkowicie przejęli dowodzenie. Przełożonym jest niejaki David Fox. Zapewne niezły z niego skurwysyn. Spadająca gwiazda” – pomyślał Gael – „widząc lecącą na nieboskłonie białą poświatę z charakterystycznym ogonem. Nie, rzekł do siebie, to tylko moje wyobrażenie”.

Motor zjechał na pobocze. Gael zdjął kask i sięgnął ręką po telefon. W słuchawce rozbrzmiał głos Xaviera:

- Słucham.
- Cześć. Kontaktowałeś się z mamą?
- Tak. Gael posłuchaj, Simone leży w szpitalu na obserwacji. Jej stan jest stabilny, ale doktor Pinette, zalecił dużo snu. Odebrali jej telefon.
- Co? Xavier przestań pierdolić! O co chodzi?
- Spokojnie przyjacielu. Zajmę się tym. Skup się na zadaniu.
- Najczarniejsze myśli przetoczyły się przez umysł Gaela doprowadzając go do szaleństwa i burząc panujący w nim spokój.
- Jutro się z nią skontaktuję – ponownie uspokoił go Xavier.
- Xavier, przestań! Powiniennem być przy niej!
- Wiem, ale nie zawsze mamy taką możliwość? Nie dramatyzuj, to rutynowa kontrola. Doktor Pinette, to jeden z najlepszych specjalistów. Ok?
- Ok – Gael starał się uwierzyć w słowa Xaviera, ale nie przychodziło mu to łatwo.
- Nie powinienes być w samolocie? – zmienił temat rozmowy.
- Zmieniły się plany. Lecimy z portu w Ajaccio.
- Xavier przez chwile milczał jakby nad czymś się zastanawiał. Po chwili rzekł:
- Dziwne to wszystko. Przypominają mi się moje młode lata. Dam ci jedną radę. Praca twojego formatu, mo to do siebie, że jest nieprzewidywalna. Terroryci, zdaje się, są coraz bardziej przebiegli. To zapewne potrzeby bezpieczeństwa, jednak to nie rozmowa na telefon.
- Gael zamyślił się. Od dawna zastanawiał się o co chodzi w całej wojnie z terroryzmem. Czy nie jest to walka podobna do tej, jaką toczył Don Kichot z „niebezpiecznymi” wiatrakami?
- Wiem – odparł po chwili. – Zaopiekuj się nią! Powiedz jej, że niedługo wrócę! Będę zobowiązany.
- Oczywiście!
- Jak wyjdiesz na balkon, może zobaczysz spadające gwiazdy. Dużo ich jest na niebie dzisiejszej nocy.
- Popatrzę. Dzięki.
- Pozdrów Simone oraz Polę.
- Nic mi nie mów o Poli. Cały czas robi mi awantury, ale przekażę. Na pewno się ucieszy.
- Czterdzieści lat wysłuchiwała twoich wykrętów i opowieści. Częste rozłąki. Musisz być wyrozumiały. Cud, że wytrzymała z tobą tyle czasu – zgaśnił go Gael.
- Tak, wiem. Niewielu się to udało.
- Trzymaj się Xavier.
- Ty też. Powodzenia.

* * *

Mały huragan wzniesiony ruchem łopat wirnika spowodował, że czekający na przylot śmigłowca mężczyzna złapał się za nakrycie głowy oraz przysłonił oczy. Dudniący wiatr wdzierał się każdą możliwą szczeliną. Ogromne lądowisko usytuowane na szczycie wieżowca migotało kolorowymi światłami, ułatwiającymi podejście do lądowania. Pogoda nie sprzyjała takim manewrom, silne podmuchy oraz gęsta siąpanina powodowały rozmycie obrazu i pogorszenie pola widzenia. Mimo to, pilot wykazał się dużymi umiejętnościami sadzając delikatnie helikopter na lądowisku.

Drzwi maszyny rozsunięły się – wysiadło dwóch mężczyzn ubranych w długie przeciwdeszczowe płaszcze.

– Dzień dobry. Pan Martin Casbolt czeka na panów. Proszę za mną! – rozdarł się mężczyzna starając się przekrzyknąć odgłos wyjącego wiatru oraz dudnienia silnika. Ubrany był w elegancki garnitur przysłonięty przeciwdeszczową peleryną.

Szybkim krokiem skierowali się do wnętrza budynku.

Mężczyźni, bez słowa, podążyli za przewodnikiem. Na korytarzu wijącym się niczym wstążka, nie było żadnych drzwi. Weszli po kilku schodach, wreszcie dotarli do windy. Mężczyzna wybrał najniższą kondygnację – podziemia. Z głośników, umieszczonych obok wyraźnie wyeksponowanej kamery, dobiegała cicha, spokojna muzyka. Jazda trwała może ze dwie minuty, wreszcie winda stanęła.

– Jesteśmy – wyjaśnił mężczyzna – proszę pójść korytarzem prosto.

Szybkim krokiem udali się we wskazanym kierunku. Jeden z nich w rękę trzymał czarną skórzaną teczkę. Za załomem, na samym końcu stał potężny, łysy ochroniarz trzymając w rękę wykrywacz metalu.

– Żadnych telefonów, odtwarzaczy mp3 i innych urządzeń elektronicznych. Wszystko należy zdeponować tutaj – poinformował z profesjonalnym chłodem.

Mężczyźni zastosowali się do polecenia. Ochroniarz dodatkowo przesunął wzdłuż ich płaszczy wykrywacz metalu – w końcu jego zadaniem było upewnienie się, że wszystko jest tak, jak zalecają procedury. Na ścianie, na żółtym tle czernił się napis: Strefa Bezpieczeństwa. Sektor III.

– Proszę wejść – rzekł łysy wskazując wykrywaczem drzwi.

Poza stolikiem z oświetlającą blat lampką oraz trzema krzesłami, pomieszczenie było pogrążone w mroku i pustce. Wyraźnie wyczuwalny dym papierosów wżerał się w oczy niemalże powodując łzawienie. Słabe światło pozwalało dostrzec tylko zarys sylwetki, zasiadającej po przeciwnej stronie stolika.

– Siadajcie. Dokumenty połóżcie na stoliku – rzekł Casbolt siedząc w cieniu. Czerwony ognek papierosa co jakiś czas tlił się w ciemności, a mężczyzna zaciągał się dymem z wyraźną rozkoszą nałogowca.

Mężczyźni usiedli. Jeden z nich otworzył teczkę i wyjął dokumenty, kładąc je na stoliku. Casbolt szybkim ruchem ręki przyciągnął je do siebie. Otworzył, a następnie zaczął przeglądać.

– Jesteśmy pewni tych ludzi? Pasują do wzoru? – zapytał spokojnie.

– Tak. Zostali sprawdzeni. Wszystko jest w aktach – rzekł jeden z nich.

– Eduardo Piccola pseudonim Pchła – czytał akta. – Z pochodzenia Hiszpan. Urodzony w Madrycie. Ojciec przedawkował narkotyki. Matka rozpiła się. Wiek trzydzieści lat. Kawaler. W wieku szesnastu lat wstępuje do jednego z licznych gangów w Madrycie. Zajmuje się wymuszeniami i haraczami. Zostaje ranny podczas ulicznej strzelaniny. Po rehabilitacji wyjeżdża do Francji. W wieku dziewiętnastu lat wstępuje do Legii Cudzoziemskiej. Pierwszy kontrakt spędza w Nowej Gujanie Francuskiej, walcząc z przemytnikami narkotyków. Przeniesiony do drugiego regimentu spadochroniarzy na Korsyce. Po dwóch latach dostaje się do grupy specjalnej. Bierze udział w operacjach w Iraku, Afganistanie, Libii, Syrii. Odznaczony Orderem Zasługi. Stopień wojskowy – sierżant. Odważny, silny i zdeterminowany. Lubi dobrze się zabawić i nie stroni od alkoholu oraz lekkich narkotyków. Bez perspektyw na życie poza wojskiem. Może być podatny na włamania.

– O to się nie martwcie. Czy coś na niego mamy w razie, gdyby były problemy? – zapytał Casbolt.

– Tak. Akta spraw i dokumentację jego życia z okresu gangsterki. Dowództwo Legii Cudzoziemskiej nie wie wszystkiego o jego bujnej przeszłości. Oto aktualny wygląd. Zrobione dzisiaj rano – rzekł mężczyzna wskazując na zdjęcie w aktach.

– Związany z kimś? – zapytał człowiek z papierosem.

– Nie. Całe jego życie to armia.

– Doskonale, następny – rzekł człowiek gasząc papierosa. – Jurij Iwanowicz Popow pseudonim Juri. Rosjanin. Urodzony w Murmańsku. Rodzice nadal tam mieszkają. Matka

nauczycielka, ojciec spawacz. Wiek dwadzieścia osiem lat. Rozwiedziony. Próbował swoich sił w zawodzie ojca. Znacznie lepiej szły mu uliczne bójkі. Walczył amatorsko za pieniądze. W wieku dziewiętnastu lat poślubił Karinę Gorodin. Zaszła z nim w ciążę. Po urodzeniu dziecka zdradziła go z przypadkowym mężczyzną na imprezie. Juri był wtedy pijany. Z zemsty skatował chłopaka oraz swoją kobietę. Groziło mu więzienie. Rozwiedli się tak szybko, jak się pobrali. Jego córka do dzisiaj mieszka z Kariną Gorodin. Płaci alimenty.

– Kocha córkę? – zapytał mężczyzna.

– Sprawdziliśmy przelewy bankowe. Wysłała trzykrotnie większą sumę, niż nakazał sąd. W tytule przelewu jest zawsze napisane – dla najukochańszej Anieli.

– Czy Interesuje się tematami niestandardowymi. Polityczne myślenie. Dochodzenie prawdy. Filozofia w głowie? – zapytał mężczyzna sięgając po kolejne akta.

– Nie. Prosty, jednak jak na żołnierza nie jest głupi. Najważniejsze, że wykonuje rozkazy.

– Kto dobierał ludzi? – zapytał mężczyzna, odkładając akta do teczki i podsuwając je dwóm eleganckim panom. – Możecie zabrać.

– Porucznik Gael Lescout – powiedział jeden z mężczyzn chowając akta do teczki.

Mężczyzna zamilkł. Wyjął kolejnego papierosa i czym prędzej odpalił.

– Co o nim wiemy? – zapytał po chwili.

– Jego ojciec należał do wywiadu. Zginął podczas jednej z akcji. Był zdyscyplinowany. Dowództwo go chwaliło. Syn wstąpił do armii.

Mężczyzna za biurka wstał. Przechadzał się po pokoju.

– Inteligentny?

– Tak. Myślenie nieszablonowe. Doszukuje się skutków i przyczyn w działaniach. Lubi wiedzieć co i jak. Kręgosłup moralny na poziomie przeciętnym. Gotowy do weryfikacji.

– Czy ta jego inteligencja nie będzie dla nas problemem? Były przypadki, że ludzie zdawali relacje mediom. Nie chcemy tych błędów powtarzać – rzekł mężczyzna ponownie siadając na krześle.

– Jest gotowy. To jego pierwsza misja. Będzie obserwowany. Zaszczepimy mu idee. To patriota.

– Ręczycie za niego? Nie każdy potrafi sobie poradzić z TYMI SPRAWAMI – zaakcentował ostatnie dwa słowa. – Wielu wariuje.

– Był obserwowany przez cztery lata. Wywiad psychologiczny i środowiskowy potwierdza jego oddanie sprawie. Potrafi milczeć.

– Jak coś pójdzie nie tak, to wy za to odpowiecie.

– Wszystko jest przygotowane. Dzisiaj o godzinie 23.00 będą na lotnisku. Monitorujemy ich ruch. Wykonują polecenia zawarte w instrukcji. Przejmiemy ich jak tylko odnajdą obiekt. Staruszek wystawi ich nam na tacy.

– Macie zdjęcie Lescouta? – zmienił temat Casbolt.

– Tak – odparł jeden z nich kładąc je na stół.

– Czekam na raport po wykonaniu zadania – podsumował rozmowę Casbolt chowając zdjęcie do szuflady. – Nie spierdolicie tego. Góra przyśpiesza z planem. Naciskają mnie, a jak za mocno nacisną, to i wam się oberwie. Chyba to rozumiecie? – rzekł wstając z krzesła i wychodząc drzwiami znajdującymi się za jego plecami.

* * *

Lotnisko imienia Napoleona Bonaparte przepełnione było ludźmi. Zgiełk i szum przemieszczających się walizek na małych kółeczkach rozbrzmiewał co jakiś czas. Podróżni leniwie przemieszczali się w poszukiwaniu odpowiedniego terminalu. Tępe, niewyraźne spojrzenia świadczące o duchowej nieobecności. Każdy zabiegany wokół swoich małych i dużych spraw.

Gael stanął przy terminalu numer pięć. Na wyświetlaczu widniała informacja: Paryż - odlot - godzina 00.45. Kolejka podróżnych z każdą minutą wydłużała się. Nigdzie nie było widać kolegów z wojska. Minęła godzina. Spojrzał na zegarek, który wskazywał 21.57. Mają jeszcze czas, pomyślał.

– Przepraszam. Zgubił pan książkę i chyba dokumenty – powiedział jakiś mężczyzna chwytając go za ramię. Był przeciętnej budowy ciała oraz średniego wzrostu. Ubrany w dżinsowe spodnie oraz szarą cywilną kurtkę. Niewielki zarost przykrywał szpecące twarz blizny.

– Słucham? To nie moje... – odparł Gael spoglądając na książkę zatytułowaną jako Otello, W. Szekspir, jaką nieznajomy trzymał przed nim.

– Jest pan pewien?

– Przepraszam, faktycznie. Musiała mi wypaść z plecaka – zmienił po chwili zdanie. – Bardzo dziękuję.

– Musi pan uważać. Książka to jedno, ale również zgubił pan paszport.

Gael wziął do ręki dokument i otworzył na ostatniej stronie rozpoznając siebie. Dane osobowe jednak się różniły.

– Panie Puchote czy leci pan do Paryża?

Gael kiwnął głową.

– To jeszcze ponad dwie godziny – kontynuował nieznajomy. – Zapraszam na kawę.

– Dziękuję za pomoc. Nie wiem co bym zrobił, gdybym zgubił ten paszport – rzekł Gael bawiąc się w maskaradę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – stwierdził mężczyzna prowadząc go w nieznaną.

Gael szedł za nim spokojnie. Szybko zorientował się, że przekroczyli właśnie strefę cywilną i są na terenie dostępnym jedynie pracownikom lotniska. Przewodnik otworzył kolejne drzwi. Weszli do niewielkiego pomieszczenia. W środku stali już jego ludzie. Wyglądało to tak, jakby tylko na niego jeszcze czekali.

– Witam panów. Cieszę się, że wszyscy dotarli na czas – powiedział David Fox – Wybaczcie nam te środki ostrożności. To standardowa procedura. Otrzymaliście dokumenty. Nie gubcie ich na przyszłość – dodał ironicznie Fox. – Oto wasze nowe życiorysy, w razie gdyby ktoś was pytał.

Jeden z agentów CIA wręczył każdemu z żołnierzy po teczkę.

– Czy dowiemy się o co chodzi? – zapytał Gael.

– Tak. Na miejscu. Teraz wykonujcie tylko to, co wam powiem. Ok? – popatrzył po żołnierzach Fox.

Kiwnęli głowami.

– Poproszę wasze telefony komórkowe – rzekł stanowczo.

– Co? Na co wam one? – zaprotestował Gael.

– Względy bezpieczeństwa. Raz, dwa oddawajcie. Po powrocie, otrzymacie je z powrotem. Na czas zadania otrzymujecie nasze telefony. Zaszifrowane. Nie próbujcie dzwonić do rodzin. To linia awaryjna. Kontaktuj się z wami tylko nasi ludzie, jasne?

– Jak, kurwa, słońce – wychrypiął Juri.

– Kurwa! – zaklął pod nosem Gael wrzucając telefon do małego drewnianego pudełka.

– Posłuchajcie! Macie nowe papiery. W teczkach są bilety lotnicze do Bamako, stolicy Mali. Macie przesiadkę w Paryżu. W Bamako odbierze was nasz człowiek. Tam otrzymacie dalsze instrukcje. Cały niezbędny sprzęt został już zabrany.

– Jak mamy wykonać operację, nie wiedząc co i jak? – zapytał Pchła.

– Nie mam czasu teraz wam tego tłumaczyć – zbył go Fox. – Samolot wam ucieknie. Zachowujcie się jak cywile na urlopie. Wasze zadania nie odbiegają znacząco od tego, co już zapewne przedstawił wam Roche Puchote.

Żołnierze ze zdziwieniem popatrzyli na porucznika.

– Puchote? – zapytał Juri.

– To ja – odpowiedział Gael.

– Jesteście na urlopie. Operacja nie istnieje w aktach waszej jednostki. Nastąpiła zmiana planów. Macie wykonać zadanie specjalne o wyjątkowo wysokim poziomie ryzyka. Operacja wywiadowczo – wojskowa. Informacje na miejscu – instruował ich Fox zakładając kurtkę i zbierając się do wyjścia. – Pospieszcie się, samolot czeka. Bilety są w środku. Do zobaczenia na miejscu.

Gael milczał do momentu, gdy zostali sami.

– Nie wiem o co tutaj chodzi, ale grajmy na razie według ich reguł – powiedział niemalże szeptem uważnie spoglądając na żołnierzy.

Popatrzyli po sobie i skinęli głowami.

– Jasne. Ty dowodzisz – odparł Pchła po czym wyszedł z pokoju.

Gael stanął w kolejce do terminalu. Zegary na lotnisku wskazywały godzinę 22.40. Rozpoczęła się odprawa bagażowa. Kolejka posuwała się szybko i sprawnie. Jego koledzy rozlokowali się po lotnisku starając się nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania. Dla Gaela cała ta maskarada wydawała się kuriozalna. Nie wiedział dokładnie, kto jest przeciwnikiem i przed kim stosowane są te środki bezpieczeństwa. Nie był szkolony w postępowaniu wywiadowczym, zatem postanowił zagrać w grę Foxa i zaufać jego doświadczeniu.

– Dobry wieczór. Bilety proszę – odezwał się bardzo miły głos zza biurka terminalu.

– Dobry wieczór – Gael podał paszport z włożonym do środka biletem.

– Dziękuję. Życzę miłego lotu panie Puchote.

„Niebo nocą jest przepiękne, szczególnie, gdy ogląda się gwiazdy ponad chmurami”, pomyślał Gael. „Ciekawe czy zobaczę spadające meteoryty”. W samolocie prawie wszyscy spali jednak on nie mógł zmrzyć oka. W końcu zdrzemnął się i nic mu się nie śniło.

Pobyt w Paryżu trwał niemalże cały dzień. Nocny lot do Bamako przebiegał bez problemów. To dobry moment, pomyślał, aby zapoznać się ze swoją nową osobowością.

Roche Puchote urodzony w Paryżu w 1983 roku. Żonaty z Izabelą Puchote. Dwójka dzieci; Marion i Filip. Zajmuje się szkoleniami z zarządzania kadrami i zasobami ludzkimi. Właściciel firmy Pro Solutions. Gael szybko przekartkował wszystkie dokumenty. Jest tego ponad dwadzieścia stron. To będzie długi lot.

– Roche. Masz chwilkę? – zapytał Pchła szepcząc do ucha.

– Co się stało?

– Musimy pogadać. Chodź, coś ci pokaże.

Gael wstał z fotela. Ruszył korytarzem za swoim kolegą. Stanęli obok toalet. Stewardesy oraz pasażerowie nie zwracali na nich uwagi.

– Wiem, że raczej nie powinniśmy na ten temat rozmawiać, ale... – szepnął Pchła.

– O co chodzi? – wtrącił się Gael.

– Brałem udział w wielu wyjazdach służbowych. Miałem różnych szefów – ironizował Pchła. – Nigdy jednak nie wydarzyła się sytuacja, że w trakcie operacji nikt nie wiedział co ma robić. Ludzie są zdenerwowani.

– Co ja mam ci powiedzieć? Nie mam pojęcia, co nas czeka. Blanchard odciął się od nas.

– Chodzi mi o to, że musimy bardzo sobie ufać. Pierwszy raz ze sobą pracujemy i wiem, że musimy polegać tylko na sobie. Rozumiesz to Roche? – szeptał Pchła zerkając na boki, czy nikt nie podsłuchuje.

– Rozumiem. Nie martw się. To rutynowe działanie. Zdajmy się na profesjonalizm naszych przełożonych – klepnął go w ramię Gael. – Teraz wybacz, muszę się odlać, chyba, że chcesz mi pomóc?

– Poradzisz sobie.

Turbulencje obudziły pasażerów. Lekkie wstrząsy nie pozwalały na spanie. Gael patrzył przez okno. Gwiazdy prezentowały się w całej swej okazałości. Odkąd był dzieckiem, uwielbiał spoglądać ponad głowami, wysoko nad horyzont. Razem z ojcem potrafili godzinami wypatrywać dziwnych obiektów mknących po niebie. Właściwie nie bardzo wiedział, dlaczego wstąpił do armii. Może to wpływ ojca, a może to marzenia o byciu jednym z tych herosów, jak w licznych baśniach i opowieściach. Niestety, rzeczywistość znacznie się od baśni różniła. Wszystko było bardziej szare, szorstkie i płytkie, bez polotu i wyobraźni. Gdyby raz jeszcze podczas testów psychologicznych miał odpowiedzieć na pytanie: czy jeśli miałby szansę urodzić się na nowo, to wybrałby tę samą ścieżkę życiową, odpowiedziałby, że zdecydowanie nie. Patrząc w gwiazdy, doszedł do wniosku, że może postarałby się zostać astronautą. Chwilę później zasnął.

– Witam państwa. Mówi kapitan. Do lądowania zostało 30 minut – obudził ich mocny głos dobiegający z głośników. – Zapowiada się piękny słoneczny dzień. Proszę o zapięcie pasów. Podczas lądowania mogą wystąpić lekkie turbulencje. Nie należy się tym niepokoić. W razie potrzeby załoga udzieli państwu wszelkich informacji. Dziękuję.

Gael zapiął pasy. Spojrzał przez okno. Na widnokręgu pojawiło się nagle wschodzące słońce. Samolot lekko dotknął kołami pasa startowego, w końcu przyziemił całkowicie. Kapitan zrobił to z wyczuciem i zegarmistrzowską wręcz precyzją.

– Dziękuję za wspólny lot. Jest godzina 6.32 czasu lokalnego. Temperatura na zewnątrz wynosi siedemnaście stopni. Witamy w Afryce. Życzę miłego pobytu w Mali.

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI...

Podróż przebiegała komfortowo i wyjątkowo spokojnie. W samochodzie rozbrzmiewało Bolero Mauricea Ravela. Zostawiła Bernardowi kartkę na stole, mając nadzieję, że nie obrazi się za to, iż wyjechała bez pożegnania. Robert spał obok, delikatnie pochrapując i pomrukując. Może miał piękny sen?

Za szybą auta piętrzyły się, niemalże wgryzające się w błękitno niebo, poszarpane wierzchołki Alp. Góry pochylały się nad podróżnymi, człowiek wydawał się przy tym mikroskopijnym trybikiem w ogromnym mechanizmie Wszechświata. Wielki konstruktor, jeśli to wszystko zaplanował, to wykonał kawał dobrej, a przynajmniej pięknej dla oczu roboty.

– Daleko jeszcze? – obudził się Robert.

– Minęliśmy Courmayeur. Tym tempem, to jakieś sześć godzin – powiedziała Monika spoglądając na GPSa.

– Nawet gdybym chciał, to nie jestem w stanie tak długo spać.

Monika przyciszyła muzykę.

– Musisz spać?

– Nie lubię jazdy samochodem. Nudno, niewygodnie i brak komputera.

– Czasami przyda się odrobina odmiany. Zastanawiałeś się kiedyś nad dowodem na istnienie Boga?

– Tak. Nie raz. Czemu pytasz? Mamy coś do jedzenia? – zapytał Robert, rozglądając się po samochodzie.

– Patrę na świat i mam pytania odnośnie ewolucji gatunkowej. Jeśli można tu mówić o ewolucji, może ktoś osobowy za tym wszystkim stoi? Jakaś zewnętrzna siła sprawcza?

– Według argumentów kosmologicznych, bodajże Arystotelesa, nie może istnieć ruch bez „Pierwszego Poruszydela”. Tomasz z Akwinu również stwierdził, że za wszystkim musi stać przyczyna sprawcza. Według niego, tą praprzyczyną jest Bóg, ona to doprowadza do pierwszego warunku – przyczyny. Łapiesz, o co tu chodzi? – zapytał Robert otwierając napój gazowany.

– Domyślam się. Lubisz filozofię?

– Lubię łamigłówki, poszukiwanie prawdy na temat rzeczywistości, a filozofia to gra intelektualna. Bardzo wciągająca.

– Dlaczego sądzisz, przepraszam, filozofia sądzi, – poprawiła się Monika – że za czymś, co zostało stworzone musi stać jakaś przyczyna?

– Filozofia jest wewnętrznie sprzeczna. Kreationizm to tylko jeden z wielu nurtów i poglądów. Kant stwierdził, że czasoprzestrzeń istnieje od dawna i nie można udowodnić czegoś, cofając się w nieskończoność w procesie dowodzenia logicznego, do poszukiwania przyczyny. Powoduje to zapętlenie w rozumowaniu logicznym.

– Rozumiem. Co nie wyklucza, że tak mogło nie być. Następstwo logicznych zdarzeń nie musi posiadać konkretnej i udowodnionej przyczyny. Generalnie chodzi mi o to, że...

– Początek nie musi mieć przyczyny – wtrącił się Robert – tak twierdził Hume.

– Dokładnie. Być może nie możemy dotrzeć do granic poznania rzeczywistości, bo wychodzimy z błędnych przesłanek?

– Chodzi ci o tę rozmowę z Markiem?

– Nie, nie o to chodzi. Dla mnie liczy się postęp naukowy – stanowczo zakończyła.

– Fakt, jesteśmy w głębokiej, czarnej, brudnej i śmierdzącej dziurze, w duuu... – przeciągnął ironicznie.

– Robert, ja mówię poważnie!

– Są! Tam, obok ciebie! – krzyknął Robert pokazując palcem czarną reklamówkę.

- Co?
- Moje kanapki. Podaj mi je!
- Robert! Jesteś niemożliwy. Rozmawiamy o budowie Wszechświata, a ty cały czas myślisz o jedzeniu – powiedziała Monika z niedowierzaniem kręcąc głową.
- Mam podzielną uwagę. Możemy rozmawiać, myśleć i możemy jeść. Na głodzie nic nie wychodzi – rzekł z wielką powagą dobierając się do kanapek.
- Wiesz, co jest najzabawniejsze w filozofii? – zapytała Monika obserwując Roberta wgrzyżającego się w kanapkę.
- Oszfec mie – wyseplenił z pełnymi ustami.
- Cokolwiek bym nie powiedziała, to zawsze okazuje się, że już jakiś mędrzec to stwierdził lub wpadł na coś bardzo zbliżonego.
- Coś w tym jest. Sztuką jest wymyślić coś, czego jeszcze nikt nie odkrył.
- Monika milczała przez chwilę. Jej zawile myśli wędrowały w umyśle szukając kolejnego tematu do dyskusji.
- Na polu fizyki jest jeszcze dużo obszarów do zbadania – stwierdziła nagle, może niezbyt odkrywczo, ale w końcu była pochłonięta uważną obserwacją górskiej drogi. – Co sądzisz o tym projekcie w Gran Sasso?
- Żałuję, że mnie tam nie było. Zastanawiam się, czy to były błędy pomiarowe. Być może nauka nie jest gotowa na nowe odkrycia? Tak sobie czasami myślę... – skwitował Robert.
- No proszę. Takie myślenie w CERN, to niebezpieczna nowość – zażartowała dr Eden.
- Robert spojrział na nią z wyjątkowo jak na niego poważną miną.
- Myślałem nad tym, co powiedziałaś w CERN. Przekonstruowanie poglądów i wiedzy fizycznej jest rozsądnym posunięciem w przypadku, gdy nauka zapętli się w swoich założeniach, ale zakończenie projektu tylko, dlatego, że wykryto błędy w sprzęcie? Bez próby weryfikacji? Bardzo podejrzan.
- Myślisz, że nas wpuszczą do profesora Guntaro? – rzekła szukając po omacku telefonu.
- Oczywiście. Mam tam znajomego. Najpierw zajedziemy do niego.
- Kontaktowałeś się z nim?
- Tak.
- No i co? Robert! Czy ja muszę cię ciągnąć za język?!
- Spotka się z nami. Jak będziemy blisko mam zadzwonić. To mój stary znajomy ze studiów.
- Rozmawiałeś też z Guntaro telefonicznie. Co powiedział?
- Nie miał czasu na długie pogaduchy – zaśmiał się Robert puszcżając oko do Moniki. – Grzecznie mnie spławił. Ogólnie rzecz ujmując, to według niego, wyniki badań były niepoprawne z powodu uszkodzenia systemu pomiarowego. Raport jest dostępny w laboratorium. Sprawdziłem, kto pracował w projekcie OPERA. Był tam mój kolega, którego dzisiaj poznasz.
- Czemu nie pracuje w nowym przedsięwzięciu? – zapytała Monika bacznie obserwując Roberta.
- Badania przejęło wojsko oferując wszystkim pracę w ramach projektu ICARUS. A, że Terry nie lubi armii to nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Uważa ich za grupę bezmózgich goryli.
- No cóż, na ile znam wojskowych, to niewiele się pomylił – parsknęła śmiechem Monika.
- Skąd wiesz?

– Mój ojciec był pilotem. Opowiadał historie z armii. Nie sądziłam, że w XXI wieku można mieć jeszcze tak stereotypowe i prymitywne myślenie.

Robert wzruszył ramionami.

– Wracając do tematu. Terry wszystko nam opowie, ale jego zdaniem faktycznie doszło do błędów pomiarowych. Był w pracy i nie miał czasu rozmawiać. Chociaż mówił to jakoś bez przekonania.

– Co powiedziałaś Markowi?

– Jedziemy nawiązać kontakt z naukowcami z projektu ICARUS. Porównamy badania i wyniki. Nie wspomniałem mu o ani wojsku, ani o nazistowskich naukowcach ani o Godzilli.

Monika ponownie parsknęła, zerkając z rozbawieniem na Roberta.

– I bardzo dobrze. Uważam, że przesadziłeś z tymi nazistami, nie wspominając już o przerośniętej jaszczurce. To tematy nie na głowę Marka.

– Taka prawda – zaśmiał się Robert pariodując cmokanie Marka.

– Och! Przestań – Monika teatralnie trzepnęła go w rękę.

– Wiem jak tego nie znosisz – odparł śmiejąc się.

– Jesteś jeszcze głodny? – rzekła Monika z lekką nutą drwiny – Niedaleko jest super knajpa.

– Już nie jestem. Jednak nie odmówię dobrego posiłku.

– Okej – zaśmiała się Monika.

* * *

Alpha Communication Industries była jedną z najpotężniejszych w świecie korporacji wdrażającą nowe technologie dla wojska oraz agencji kosmicznych. Wychodząc naprzeciw współczesnym wymaganiom pola walki oraz eksploracji kosmosu, firma rozwinęła badania nad metodami komunikacji oraz systemami łączności.

W czasach pluralizmu kulturowego oraz globalnego środowiska, to właśnie informacje decydowały o losie niejednego przedsiębiorstwa. W czasie wojny, pozyskiwanie wiedzy na temat przeciwnika oraz jak najszybsze i dokładne dostarczenie danych do sztabu operacyjnego było podstawą sukcesu w bitwie.

Aktywa i wartość rynkowa firmy oceniana była na kilka bilionów dolarów. Mówi się, że to prezesi i zarządy takich firm opłacają kampanie wyborcze i wybierają prezydentów. Niewidoczni władcy nowoczesnego świata.

Bernard wszedł na posiedzenie zarządu spóźniony. Wszyscy spojrzeli na niego wymownie, jakby oczekując uzasadnienia tego nieodpowiedzialnego czynu.

„Wypchajcie się wszyscy”, pomyślał starając się jednocześnie zachować kamienną twarz.

Thomas Steiner, jego szef, gestem ręki wskazał mu miejsce, po czym dalej omawiał najistotniejsze sprawy związane z działalnością firmy.

– Jak widać na przedstawionym wykresie, obroty spółki wzrosły w tym roku o dwa procent. Główny sektor, w którym uzyskaliśmy największy dochód, to współpraca z wojskiem oraz agencjami kosmicznymi – kontynuował Steiner.

Bernarda nie za bardzo to interesowało. Jego zadaniem było pomagać we wdrażaniu technologii komunikacyjnych. Miał wyszukiwać kierunki rozwoju i badań dla naukowców zatrudnionych przez firmę. Najbardziej zastanawiał go fakt, czy uda mu się dzisiaj spotkać z kolegą pracującym w Europejskiej Agencji Kosmicznej. Nie zdążył nawet pożegnać Moniki, co więcej, nie miał nawet czasu, aby do niej zadzwonić.

Mijały minuty. Bernard ostatnim rzutem oka sprawdzał prezentację na dzisiejsze wystąpienie. Martwił się, czy aby niespodzianka, którą obmyślił wraz ze swoim asystentem, wyjdzie tak, jak zaplanował. Przygotował się, ale nigdy do końca nie był pewien działania najnowszych technologii.

„Zaraz mnie poproszą do tablicy. No nic, raz kozie śmierć”.

W sali rozbrzmiały odgłosy oklasków. To znak, że przedmówcy skończyli swoje popisy erudycji.

– Panie Eden, zapraszamy – powiedział prezes zarządu Thomas Steiner wskazując ręką miejsce przy mównicy. – Ci, którzy nie mieli przyjemności poznać, oto pan Bernard Eden, kandydat na kierownika ds. rozwoju technologii komunikacyjnych na terenie Europy. Zapraszam.

Bernard ruszył z wahaniem, szukając przemówienia i wykresu obrazującego aktualny stan projektu. Stał przy mównicy i rozejrzał się po ludziach.

„To mój debiut w takim gronie”, pomyślał.

– Witam wszystkich i przepraszam za spóźnienie. Problemy z technologią transportową – zażartował.

Kilka osób uśmiechnęło się, lecz większość nie podchwyciła żarciku.

„Nie ma to jak drętwy start”, zaśmiał się w duchu.

– Technologie komunikacyjne to przyszłość – kontynuował. – W celach dominacji na światowym rynku oczekujemy, że pozyskiwanie nowych patentów oraz najzdolniejszych naukowców przyniosą prym firmie oraz zdystansują konkurencję, szczególnie T – Science – uśmiechnął się krzywo.

Tym razem sala zarechotała.

– Moim planem jest wykroczenie poza zasady szablonowego myślenia i wdrożenie komunikacji bez zastosowań zewnętrznych urządzeń. Mówiąc w skrócie, możliwe jest uzyskanie przekazywania danych za pomocą mikro chipów wprowadzanych bezpośrednio do ciała nosiciela, mózgu klienta. Komunikacja odbywa się za pomocą dynamiki procesów neuronowych opartych o bazowe systemy pojęć. Jeśli uda nam się tego dokonać w tym roku, zdystansujemy konkurencję, a szczególnie T-Science. Przedstawiam państwu projekt o nazwie *N-TAI*, Neuro-technology Advance Implant.

– Czy implementacja chipa jest bezpieczna? – zapytał Steiner.

– Tak. Wstępne testy nie wykazały żadnych powikłań. Jest bezpieczniejszy od chipów RFID czy SUBNETS konstruowanych przez DARPA, które jak wiemy rząd USA wdraża dla sektora medycznego i mundurowego za pośrednictwem T- Science.

– Kto byłby klientem docelowym? – zapytała Vivian Farelli odpowiedzialna za proces wdrażania technologii na rynek cywilny.

– W zasadzie cały świat – rzekł Bernard poważnie spoglądając na nią.

„Niech mnie diabli, ale laska!” – dodał w myślach.

– Telefony komórkowe, – kontynuował po chwili – Internet, telewizja to wszystko będzie znajdowało się w małym chipie. To całkowicie nowa jakość i wielki krok naprzód w dziedzinie komunikacji. Firmy na całym świecie będą biły się o ten patent oraz o licencję na użytkowanie.

– Rewelacyjne, panie Eden – rzekł prezes. – Może przejdźmy do rzeczy – dodał mniej uprzejmie.

– Oczywiście panie Steiner – odparł pośpiesznie.

– Czy to bezpieczne? Zdaje Pan sobie sprawę, że możemy zostać oskarżeni o próbę monopolizacji rynku – rzekł jeden z członków zarządu.

„Microsoft monopolizuje rynek i ma to w dupie”, pomyślał Bernard wpatrując się w mężczyznę.

– Po pierwsze udostępniły dostęp do technologii innym firmom na podstawie odrębnych przepisów patentowych. Dzisiaj Google pracuje nad okularami, które pozwalają dzwonić i komunikować się. My oferujemy znacznie więcej. Połączenia audiowizualne dostępne będą dla każdego bez potrzeby posiadania urządzeń zewnętrznych. Dostęp do Internetu, zakupów, możliwość zapisywania obrazu za pomocą chipu połączony z obrazem rejestrowanym przez narządy receptorowe. Przesyłanie danych bezprzewodowo do komputerów. Wszystko w małym, mikroskopijnym chipie w twojej głowie. *N-TAI* wyznaczy przyszłość – kontynuował Bernard.

Steiner nie krył poruszenia. Zdawał sobie znakomicie sprawę, że taka zaawansowana technologia zwiększy udział w rynku. Wszystkie firmy staną w długich kolejkach, aby pozyskać prawo do produkcji. Zastanawiała go jednak inna sprawa, ile z tego co mówi ten młokos jest prawdą?

– Co z etyką panie Bernard? Wolnością człowieka? – zapytał ktoś z sali.

– Bardzo dobre pytanie – dołączył się do pytania Steiner.

– Żadnych przeciwwskazań. Czy telefon jest nieetyczny?

Członkowie zarządu zaśmiali się.

– Nie będziemy stosować przymusowej implantacji ani grzebać w czyimś umyśle – odpowiedział tonem świadczącym o całkowitej pewności siebie.

– Kiedy możemy ogłosić światu nasze odkrycie? – zapytała Vivian.

– Jak już wspomniałem, wstępne testy zostały zakończone. Zarówno na zwierzętach jak i na ludziach – odparł.

– Nie rozumiem? – zapytał Steiner. – Nie było mowy o ludziach panie Eden.

– Wiem, ale musiałem być pewien. Dobrowolnie poddałem się zabiegowi dwa miesiące temu. Odbyłem szereg badań lekarskich. Wszystkie wyniki są pozytywne. Dodatkowo ośrodek pamięci został zwiększony. Mówiąc w skrócie, *N-TAI* wpływa korzystnie na przesyłanie fal mózgowych. Wzmacnia je i stymuluje. Cała dokumentacja medyczna znajduje się w aktach.

Zarząd milczał. Wszyscy patrzyli na Bernarda Edena z niedowierzaniem.

– Panie Steiner chciałbym zaprosić na spotkanie mojego asystenta, Yvesa. Chcielibyśmy wam coś pokazać – przerwał milczenie Bernard.

– Oczywiście – odpowiedział – Proszę. Czy ktoś ma go zawołać?

– Nie trzeba. Zadzwońię do niego.

Bernard stał w miejscu i patrzył się na wszystkich. Członkowie zarządu czekali z niecierpliwością, aż wyjmie telefon, lecz nic takiego się nie stało.

– Cześć możesz wejść. Wszyscy na ciebie czekamy – wycedził słowa Bernard, jakby mówił do samego siebie.

– Czy pan zadzwonił używając tego mikrochipa? – zapytała Vivian Farelli.

– Tak. To dopiero początek.

Do sali wszedł niewysoki mężczyzna z komputerem w ręku. Yves przywitał się grzecznie, po czym zajął miejsce na samym środku wielkiego, okrągłego stołu, wokół którego zasiadali wszyscy zgromadzeni.

– Proszę o włączenie zasłon. Uruchamiam rzutnik – rzekł asystent Bernarda.

Kurtyny przeciwsłoneczne rozpoczęły zakrywanie okien. W pomieszczeniu zrobiło się dużo ciemniej. Rzutnik wyświetlił obraz pulpitu z podłączonego komputera. Cały zarząd z niecierpliwością czekał na to, co się wydarzy. Na pulpicie komputera pojawiła się informacja o wysyłaniu pliku. Asystent zatwierdził. Ukazała się scena widziana oczami Bernarda, podczas jego przemówienia do zarządu.

– Witam wszystkich. Przepraszam za spóźnienie. Problem z technologią transportową – mówił Bernard na nagraniu puszczonej w komputerze.

Filmik leciał dalej, jednak w tym momencie nikogo to nie interesowało. Wszyscy członkowie zarządu gwałtownie spojrzeli na Bernarda. Ich oczy przedstawiały niesamowite zdumienie. Wpatrywali się w niego niczym w Boga. Majestat władcy i pierwszego spośród równych.

– Niesamowite. Pan to wszystko nagrywał. Jak? – zapytał pan Steiner podchodząc do niego i bez skrępowania spojrzął w jego oczy.

– N-TAI rejestruje zapis wszystkich narządów ludzkich odpowiedzialnych za postrzeganie świata po czym, na podstawie danych tworzy obraz, dźwięk oraz zapach.

– Zapach? – zapytał Steiner.

– Tak, możemy będąc gdzieś na wakacjach, zapisać zapach potraw oraz ich smak a następnie przesać do bliskiej nam osoby, aby poczuła się tak, jakby była z nami. Jedząc banana możemy sprawić, aby odczuwała smak truskawek. Kombinacja jest dowolna – wyjaśnił spokojnie.

– Panie Eden, to jest genialne. Całkowita rewolucja w dziedzinie komunikacji – zachwycał się Steiner.

– Nie tylko w dziedzinie komunikacji. Specyfika zastosowań jest podana w aktach patentowych. To jest okno na przyszłość. To nie wszystko – dodał Bernard, po czym kiwnął głową dając znak Jacobowi. – Przygotuj drugi etap. Poproszę, aby każda osoba zapisała na kartce pięć znaków lub cyfr nie pokazując mi ich.

Asystent podał kartkę pierwszej osobie z dwunastoosobowego zarządu. Członkowie wykonali polecenie tak, jak zostali poproszeni. Na końcu zapisana kartka znalazła się w rękach Bernarda.

– Mamy tutaj łącznie sześćdziesiąt znaków i cyfr. Pani Vivian – zwrócił się grzecznie Bernard do członkini zarządu – czy pamięta pani swój numer?

– Nie. Czy to takie istotne? – odpowiedziała zdumiona.

– Czy ktokolwiek pamięta swoje znaki, jakie wpisał na kartkę? – zadał pytanie Bernard kierując je do wszystkich członków zarządu.

Nikt się nie zgłosił. Zapadło milczenie. Wszyscy oczekiwali dalszych wydarzeń. Bernard wręczył kartkę panu Steinerowi, po czym, odwrócił się tyłem i zaczął recytować głośno cyfry, w takiej kolejności w jakiej zostały wpisane.

– Zgadza się. Niesamowite. Jak pan tego dokonał? – zapytał Steiner stojąc w osłupieniu.

– N-TAI stymuluje ośrodek pamięci. Ma on zresztą znacznie więcej zastosowań, niż jestem w stanie przedstawić na dzisiejszym spotkaniu – powiedział Bernard rozglądając się po pomieszczeniu.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli można – wtrąciła się Vivian Farelli.

– Oczywiście – odparł.

– Z tego, co wiem T-Science opracowuje podobną technologię. Czy inwestorzy powinni się tym martwić?

– T-Science opracowuje projekt o nazwie RainBow, który polega na klasyfikacji zmian w układzie nerwowym pod wpływem stymulacji neuro-komórkowej obwodów pamięci dośrodkowej za pomocą zewnętrznych stymulatorów np. chipów.

Mina Vivian Farelli wyraziła całkowity brak zrozumienia. Bernard zrozumiał, że zagalopował się w opisie.

– Upraszając, badają zachowanie komórek. Bliżej im do medycyny, niż do komunikacji. N-TAI, jest całkowicie poza ich możliwościami laboratoryjnymi.

– Dziękuję. To wszystko – odparła spoglądając na Steinera.

– Panie Eden wydaje mi się, że wszyscy tutaj obecni zauważyli i docenili potencjał N-TAI. Nie pozostało nam nic innego, jak przedstawić projekt radzie głównej w Los Angeles – skomentował prezes.

– Byłbym zaszczycony. Nie ukrywam, że wdrożenie tego projektu w życie jest moim największym marzeniem.

– W takim razie, przedstawienie zarządowi głównemu tego projektu przysporzy mi jeszcze więcej radości. Czy ktoś ma coś do dodania, bądź zastrzeżenia co do tego? – rzekł prezes kierując to pytanie do wszystkich zgromadzonych.

Wszyscy członkowie wstali bijąc brawa. Steiner zbliżył się do Bernarda wyciągając rękę w geście gratulacyjnym.

– Nie ma żadnych wątpliwości co do pańskiej przyszłości w tej firmie, kierowniku. To była świetna decyzja.

Bernard uściśnął wyciągniętą dłoń. Członkowie zarządu bili brawo coraz mocniej. Zdecydowanie był to dzień triumfu Bernarda Edena, nowego kierownika działu ds. wdrażania technologii komunikacyjnych.

* * *

Samochód terenowy podjechał pod niewielki domek, zbudowany z jasnopomarańczowych cegieł. Kolor dachówek oraz kształt budynku nawiązywały do typowej architektury tego regionu Włoch. Monika wraz z Robertem wysiedli z auta i skierowali kroki ku małej willi, gdzie Terry, kolega Roberta wyznaczył im spotkanie.

– Jesteś pewien, że ktoś jest w domu? – zapytała.

– Dzwoniłem. Powiedział, że jest na miejscu.

– Jakoś tu cicho – odpowiedziała wciskając przycisk domofonu.

Kamera zainstalowana nad wejściem błysnęła obiektywem. Z zamontowanego przy furtce głośnika dobiegł skrzekliwy głos.

– Hej. Fajnie, że jesteście. Wejdźcie.

– Tajemniczy, ten twój kolega. Ceni prywatność i lubi izolację – powiodła wzrokiem po wysokim murze odgradzającym posiadłość od otoczenia – , rozrywkowy gość.

– Może ściga go Yakuza, zapewne ma jeszcze czołg w garażu – zażartował.

Monika spojrzała na Roberta z politowaniem, po czym skierowała się do drzwi. Szczęk odsuwanych rygli i zamków zabrzmiał głucho w sielankowej ciszy ogrodu. W drzwiach pojawił się niski, szczupły i skromnie ubrany mężczyzna. Łypnął na Roberta, a następnie jął intensywnie wpatrywać się w Monikę.

– CZEŚĆ Terry – rzekł Robert przerywając wzrokową fascynację kolegi.

– Robert! – krzyknął chudzielec, wyrwany z kontemplacji – kupę lat!

– Terry, to jest dr Monika Eden z CERN, Moniko, to jest dr Terry Whiteman z Gran Sasso – przedstawił Robert.

– Miło mi poznać – rzekła Monika wyciągając rękę.

– Hej, hej – uściśnili sobie dłonie – Wejdźcie. Mały bałagan, ale jakoś chyba przetrwamy.

Główny salon urządzony był w stylu późnej architektury starożytnego Rzymu, ale panował w nim, mówiąc oględnie, artystyczny nieład. Gazety, książki oraz stosy teczek z dokumentacją poniewierały się po całym pomieszczeniu. Terry podszedł do stołu, zrzucił wszystko na podłogę, po czym wskazał na drewniane krzesła.

– Siadajcie. Może coś do picia? – zapytał.

Monika obrzuciła wzrokiem pokój i wyobraziwszy sobie bałagan, jaki musi panować w kuchni, doszła do wniosku, że nie ma ochoty nawet na wodę mineralną.

– Dziękuję, jesteśmy po obiedzie – wyłgała się z uśmiechem.

– Robert? – zapytał Terry.

– Też dziękuję. Lepiej powiedz co u ciebie słychać?

– Aaaa, widzisz, nie pracuję już w Gran Sasso. Teraz jestem wolnym strzelcem. Wykonuję audyty dla prywatnych instytucji. Takie tam różne, obliczenia, poprawki, doradztwo.

– Myślałem, że jesteś zaangażowany w pracę naukową właśnie w Gran Sasso – rzekł Robert ze zdziwioną miną.

– Byłem – wyraźnie zmieszał się Terry. – Jak badania w Genewie? Słyszałem, że udało się wam dojść do jakiegoś przełomowego odkrycia – dodał po chwili spoglądając na Roberta i Monikę.

– Tak. Do tego samego, co wy dwa lata temu – odrzekł Robert.

– Hmm. Poważnie? – zapytał gładząc się po niewielkim zarostku.

– Nie jest to błąd pomiarowy. Sprawdziliśmy wielokrotnie – wtrąciła się Monika. – Rozpędziliśmy neutrina do prędkości przewyższającej prędkość światła. Chcemy abyś na to zerknął – Monika porozumiewawczo spojrzała na Roberta. – Szczególnie zaś zależy nam na opinii profesora Guntaro.

– Nie macie po co do niego jechać – burknął cicho Terry. – Nie pomoże wam. Odkąd pracuje dla wojska nie angażuje się w cywilne projekty. Zresztą ponad połowa naukowców z projektu OPERA rozpoczęła pracę dla ministerstwa obrony.

– Nie bardzo rozumiem – Monika nie ukrywała zdziwienia – Nie masz z nimi kontaktu?

– Tak jakby. Wyjechali i nie odbierają telefonów. Kilku moich kolegów, z którymi rozmawiałem powiedziało, że podpisali lojalność i nie mogą zdradzać szczegółów swojej pracy – odparł podchodząc do okna i uchylając lufcik.

– Zatem co sugerujesz? Co moglibyśmy zrobić? – zapytał Robert drapiąc się po podbrudku.

Terry zbliżył się do szafki z dokumentami i wyjął grubą teczkę. Rzucił ją na stół wzbijając przy tym niemałą ilość kurzu.

– Wybaczcie, powinienem tu kiedyś posprzątać – Terry nie wyglądał na zmieszanego. – To są akta dotyczące eksperymentu OPERA – kontynuował jak gdyby nigdy nic. – Wyniosłem je, jak mnie zwalniali. Są autentyczne, a nie jak te ocenzone przez wojsko w Gran Sasso. Porównajcie je ze swoimi wynikami.

Monika wzięła je do ręki, a następnie wymownie spojrzała na Terrego.

– Tylko tyle? – zapytała.

– Nie chciałem rozmawiać o tym przez telefon. Jaką prędkość osiągnęliście zderzając cząstki ze sobą? – zapytał, dając im znać ręką, aby poszli za nim.

Monika i Robert posłusznie wstali. Podprowadził ich do schodów prowadzących do piwnicy. Terry zapalił światło. Pojedyncza żarówka zawieszona przy suficie rozjaśniła piwnicę. W oczy rzucało się panujące w środku pomieszczenie z poplątaniem. Ścianę zdobiły kartki z wzorami, obliczenia, wykresy i inne tego typu naukowe ozdoby. Zaś środek piwnicy zajmowała bryłowata maszyna częściowo nakryta jasnym płótnem.

– Cząstki wyprzedziły światło o sześćdziesiąt nanosekund – powiedział Robert, rozglądając się po warsztacie. – Budujesz tu jakąś bombę, czy co?

– O tym później. Gdybym wam powiedział, że neutrina przekroczyły czterokrotnie prędkość światła, co byście rzekli? – Terry wyszczerzył się sympatycznie.

– Eeee, to niedorzeczne – wycedziła Monika.

– Terry, o czym ty mówisz? – zapytał Robert badawczo spoglądając na kolegę.

– O tym, że znana nam fizyka jest w wielu przypadkach błędna. Projekt w Gran Sasso został zamknięty nie dlatego, że przekroczyliśmy prędkość światła o sześćdziesiąt czy nawet milion nanosekund. Został zamknięty dlatego, że podważył zasady współczesnej fizyki oraz podczas tego pieprzonego eksperymentu z neutrinami zginął jeden z naukowców. Tego, już wam nie powiedzieli prawda?

Monika i Robert spojrzeli po sobie. Na ich twarzach malowało się całkowite zaskoczenie.

– Nie, tego nam nie powiedzieli – odparł Robert po czy zapytał. – Nie rozumiem, jak mógłby ktoś zginąć podczas testowania prędkości neutrin?

Monika nie odzywała się. Uważnie popatrywała na Terrego, szukając w nim oznak szaleństwa.

– Moniko, Robercie, projekt OPERA miał za zadanie sprawdzenie, między innymi, dlaczego liczba neutrin słonecznych obserwowanych w detektorach, jest trzy razy mniejsza od oczekiwanej wartości wyliczonej teoretycznie. Doszliśmy do wniosku, że obliczenia oparte na zasadzie znanej nam fizyki są do dupy. Naukowcom nie zgadzała się teoria z rzeczywistością. Dlatego zaproponowali, że w takim razie trzeba stworzyć nowy naukowy dogmacik. Wymyślono, że w ziemskich warunkach możemy zaobserwować tylko neutrina elektronowe, które stanowią jedną trzecią neutrin słonecznych. To tak, jakbym sobie teraz wymyślił na przykład, że Słońce jest ciepłe, bo jest żółte. Tak po prostu.

– Przecież to absurdalne, Terry! – oburzył się Robert. – Nie pasowało im, to sobie dorobili idiotyczne wytłumaczenie. To jest kuglarstwo, a nie nauka.

– Tak samo jak geometria czasu i przestrzeni? – wtrąciła zgryźliwe Monika.

Robert uspakajająco pokiwał głową, po czym rzekł:

– Faktycznie to nie pierwszy przypadek tego rodzaju. Co za obłąd, ale mów dalej. Co się stało?

– Zrodził się konflikt. Część naukowców zaprotestowała – mówił Terry chodząc w koło. W ramach projektu odrzuciliśmy oficjalną naukę i rozpoczęliśmy badania na zasadzie prób i błędów. Wtedy to się stało. Cząstki neutrin mionowych osiągnęły prędkość czterokrotnie większą od prędkości światła. Był to przypadek. Nikt za cholerę nie wiedział, jak do tego doszło.

Monika oparła się o ścianę i przysłuchiwała się uważnie temu, co mówił Terry.

– Co stało się potem? – Roberta zżerała ciekawość.

– Na początku był szok. Wszyscy się zgodzili co do tego, że są to zapewne błędy pomiarowe. Sprawdzaliśmy wszystko. Podczas tak dużych prędkości na zewnątrz występowały niecodzienne zjawiska. Ściany i otoczenie falowały, niczym tafla jeziora, kiedy spada nań kropla wody. Według Harrisa, to jeden z naukowców – wyjaśnił Terry – ściany i położenie obiektów po każdym przyśpieszeniu zmieniało miejsce położenia. Zrobiliśmy test. Harris powiedział, że stanie przy ścianie, oprze się o nią, a my mamy rozpędzić cząstki do maksymalnych możliwości akceleratorów. Nikt nie brał na poważnie jego teorii z ruchomymi ścianami. Nie wiedzieliśmy, że coś może się stać... po prostu wykonaliśmy jego prośbę – głos Terrego drżał.

Robert podszedł do niego i położył ręce na ramionach.

– Terry spokojnie – powiedział łagodnie. – Co się wydarzyło potem?

– Uruchomiliśmy urządzenie. Zrobiło się ciemno i głucho. Atmosfera w pomieszczeniu zrobiła się gęsta, jak pod wodą, kiedy nurkujesz. Widzieliśmy dziwne obiekty. Otoczyła nas ogromna przestrzeń wypełniona geometrycznymi kształtami; trójkąty, koła, prostokąty oraz inne trudne do określenia obiekty. Istoty, postacie o wyglądzie nieprzypominającym człowieka. Wszystko widzieliśmy jednocześnie z każdej strony! Tak jakbym spoglądał na ciebie, mając lustro za twoimi plecami. Otaczała i przenikała nas dziwna sieć. Cała przestrzeń, wypełniona była czymś w rodzaju siatek, jakby podtrzymujących strukturę miejsca. A po chwili wszystko się skończyło. Nastąpiła zapaść. Słyszeliśmy tylko odgłos syreny i miganie czerwonych świateł alarmowych. Byłem w szoku. Minęło kilka sekund i uruchomiły się generatory zapasowe. Wtedy... – głos Terrego załamał się – zobaczyłem Harrisa. – Miał rację. Ściany przesunęły się. Błagał mnie, żebym mu pomógł. Cierpiał, wydierał się. Nie

wie... – Terry zawiesił głos, aby po chwili kontynuować – on ryczał, ryczał z bólu, niczym zażynane zwierzę: "Pomóżcie mi, Booóże, błagam!".

– Co się stało potem? Mów! – ponaglił Robert.

– Harris uwięziony w ścianie umierał. Kawalek głowy, prawe ramię, noga. Do połowy w ścianie, a do połowy na zewnątrz. Nie mówił wyraźnie. Bełkotał. Prosił nas o pomoc, a my nic nie mogliśmy zrobić. Szybko pojawiła się ochrona. Zawiadomili służby, że doszło do wypadku. Większość z nas była w szoku. Czas szybko mijał. Pojawili się „smutni” panowie. Bardzo nieprzyjemni. Wypytywali o wszystko. Przesłuchiowano nas długo, bardzo długo. A potem postawiono nam zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci i nie zachowania przepisów bezpieczeństwa. Chyba, że – Terry na chwilę zamilkł błędząc wzrokiem po piwnicy. – Część się ugięła, zgodzili się na pracę dla nich.

– Dla kogo Terry? Ktoś wam kazał coś podpisywać? – ponaglił Robert.

– Mówili, że są z wojska oraz z agencji związanej z bezpieczeństwem narodowym. Przekonywali nas, że jeśli terroryści opanują to, co my przez przypadek odkryliśmy, to nasze dzieci i cały system demokratyczny będzie zagrożony. Że mamy obowiązek chronić nasz kraj. Większość się zgodziła. Ja jakoś nie mogłem. Wywalono mnie z pracy. A na koniec poinformowano, że jeśli będę rozpowiadał lub publikował informacje o tym, co się tego dnia wydarzyło, to zostaną mi postawione zarzuty o ujawnienie informacji zagrażających bezpieczeństwu państwa. Co mogłem zrobić? Musiałem pójść na ugodę.

Monika i Robert milczeli. Opowieść Terry’ego brzmiała szalenie ale wydawała się wiarygodna. Cała ta historia idealnie pasowała do scenariusz filmu science fiction. Różnica była taka, że Terry nie opisywał fabuły Achiwum X

– Wybaczcie. Musiałem się przed kimś wygadać – rzekł spoglądając na swoich gości. – Do tej pory przez dwa lata milczałem i aby nie zwariować wmawiałem sobie usilnie, że to gra mojej wyobraźni.

Spojrzał Robertowi głęboko w oczy i powiedział:

– Jestem naukowcem Robert, znasz mnie. Nie szukam tanich sensacji. Wszystko jest potwierdzone. Sami możecie sprawdzić.

– Terry! To, co przed chwilą opowiedziałeś było szokujące. Na dobrą sprawę nie wiem, co my mamy z tym zrobić? – wyjaśnił Robert patrząc na Monikę.

– Jesteście naukowcami. Zbadajcie to dokładnie. W CERN macie lepsze narzędzia, niż ja miałem w Gran Sasso. Macie tę przewagę, że nie musicie się uczyć na błędach. Zeszliśmy do piwnicy dlatego, że tutaj nie ma podsłuchów, a telefony nie mają zasięgu. Ponadto chciałbym wam coś pokazać – rzekł Terry podchodząc do maszyny.

– Co to jest? – zapytała Monika.

– To mini wersja urządzenia, jakie były w Gran Sasso. Nie mam takiej mocy, aby w pełni je wykorzystać. Pozwala na swoistą manipulację rzeczywistością. Prawdopodobnie rozszczepia w jakiś sposób światło widzialne do ogromnych rozmiarów powodując, że nasze oko może wychwycić znacznie więcej obiektów, znajdujących się w przestrzeni. Pokażę wam.

Terry podszedł do maszyny. Ściągnął płótno zalegające po prawej stronie. Zakrzętnął wokół, posprawił przewody i wtyczki, sprawdził bezpieczniki. Robert i Monika przyglądali się temu z zaciekawieniem, nie zadając pytań i nie komentując.

Wreszcie Terry oświadczył:

– Gotowe. Żeby wam udowodnić, że to działa, zrobimy eksperyment. Jak wiecie ludzkie oko rejestruje światło na poziomie fali o częstotliwości w przybliżeniu od czterystu do ośmiuset nanometrów, co stanowi niewielki wgląd w rzeczywistość. Za pomocą tego urządzenia będziemy mogli zobaczyć znacznie więcej. Usiądźcie wygodnie, muszę was podłączyć – rzekł Terry, maszerując w kierunku Roberta, w rękę trzymając dziwną czapkę z przewodami.

– Terry, Terry... spokojnie. Co ty chcesz zrobić? – Robert zaczął się cofać .

– Nie bój się. To jak u lekarza. Urządzenie rejestruje pracę fal mózgowych. Dzięki temu wasze widzenie rozszerza się do kilku tysięcy nanometrów. Rejestrujecie całkiem odmienną rzeczywistość. Jak w filmie Matrix.

Monika spojrzała na Roberta wymownie, dając mu do zrozumienia, że nie jest do końca pewna czy Terry ma wszystkie klepki w porządku. Robert uspokoił ją gestem dłoni stwierdzając, że wszystko ma pod kontrolą. Podszedł do Terry'ego i obejrzał dokładnie mocowania i kable doczepione do metalowej czaszy.

– Mówisz, że to bezpieczne? – mruknął Robert.

– Nie myślisz chyba, że czekałem na was, aby sobie poeksperymentować? Jasne, że sprawdziłem to na so...

Nagle Terry cofnął się o krok i spojrzał na swoich gości wykrzywiając głowę. Na twarzy zagościło mu niedowierzanie.

– Nie myślicie chyba, że zwariowałem, co? Nie, wy naprawdę tak myślicie!

– Daj spokój, Terry, nikt tak nie uważa – uspokajała Monika. – Po prostu chcemy wiedzieć, czy to bezpieczne.

– Dobra, dawaj to urządzenie i powiedz, gdzie mamy usiąść – zdecydował się Robert.

Terry machnął ręką:

– Tam – wskazał na sofę.

Otrzeptał ją z grubsza z kurzu i przygotował dwa stanowiska. Potem upewnił się, że drzwi do piwnicy są zamknięte.

– Myślałby kto, że spodziewasz się policji albo Świadców Jehowy – zażartował Robert.

– Przepraszam. Z ostrożności. Taki nawyk.

Monika i Robert usiedli na sofie. Terry założył im na głowę czasze podłączone kablami z urządzeniem.

– Rozluźnijcie się. Najpierw poczujecie coś w rodzaju błogostanu, a następnie zacnie poszerzać się zakres waszego postrzegania. W momencie, kiedy będziecie widzieć na ścianie plamy, które widoczne są tylko w ultrafiolecie, dajcie mi znać. Ok?

Robert i Monika kiwnęli głowami, że wszystko jest jasne. Urządzenie rozpoczęło pracę. Ciche dudnienie wypełniło piwnicę. Monika i Robert wpatrywali się w ścianę z taką intensywnością, jakby miał z niej wyskoczyć sam diabeł. Robert poruszył się gwałtownie. Monika chwilę po nim.

– Terry widzę to... – zaczął Robert. – Piwnica mieni się różnymi kolorami. Plamy tworzą dziwny rodzaj wzorów. Przemieszczają się, zachodząc jeden na drugi.

– Coś na wzór ósemki, przeplatanej z okręgiem, nie potrafię tego dokładnie opisać – dodała Monika – Co to oznacza?

– Nie wiem. Te symbole pojawiają się, za każdym razem, gdy przenikasz do innej rzeczywistości. Podejrzewam, że to jakiegoś rodzaju brama, ale po wypadku nie miałem okazji tego zbadać – odpowiedział Terry.

– Możesz zwiększyć moc? – zapytał Robert.

– Nie mogę. Jeśli to zrobię, walną mi bezpieczniki, a okolica straci zasilanie. Nie chcę znowu się tłumaczyć policji – odpowiedział – Niestety, jak widzicie, nie ma tutaj zbyt dobrych warunków do pracy.

– Czyli nawet nie wiesz, co by się stało, gdybyś dał większą moc? – zapytała Monika.

Terry zmieszał się. Spojrzał na nich niepewnie. Podszedł, ukucnął przed sofą i patrząc im głęboko w oczy wyznał:

– Raz tak zrobiłem – powiedział cicho – Byłem bardzo ciekaw. Jako że w domu nie miałem możliwości, spakowałem urządzenie do samochodu. Przygotowałem bardzo długie kable. W nocy podpiąłem się do przewodów wysokiego napięcia. Szkoda, że tego nie

widzieliście. Doktor nauk Terry Whiteman wspina się po konstrukcji z kablami w zębach – zażartował.

– Jesteś walnięty. Przecież mogło cię porazić, mogłeś się tam usmażyć! – skwitował z przyganą Robert.

– Wiem, wiem. Ale udało się. Zresztą przygotowałem się odpowiednio. Pełna izolacja i takie tam, wiecie, o co chodzi. Nie poszedłbym na żywioł! – bronił się Terry.

Za chwilę kontynuował:

– Miałem moc. Wziąłem tyle, ile dało się wyciągnąć z sieci miejskiej. Na chwilę przestrzeń znowu zafalowała. Wydawało się, jakby całe otoczenie się zapadło, zapadło w sobie. Widziałem pustą przestrzeń. Jakieś dziwne geometryczne struktury; bryły, linie równoległe, przecięcia prostych, a wokół pustka. To był dziwny rodzaj kosmosu. Inny od tego, jaki znamy.

– Skąd wiesz, że to był inny kosmos? – zapytała Monika.

– Nie wiem. Czuję to. Widziałem rzeczy, których nie jestem w stanie opisać. Mogę tylko domniemywać, ale to była rzeczywistość czterowymiarowa. Nasze zmysły są przystosowane do percepcji trójwymiarowego świata. Byłem tam bardzo krótko, ale wiem jedno, ta „pustka” jest zamieszkała przez istoty. Próbowaly się nawet ze mną kontaktować. Niestety, pobór mocy był tak wielki, że wywaliło zabezpieczenia. Wróciłem do tej rzeczywistości. Jak już się obudziłem, to się okazało, że połowa miasta nie ma światła. Spanikowałem. Wiałem stamtąd, jak najszybciej się dało. Zostały tylko przyłączone do sieci kable.

Na chwilę zapadła cisza. Robert i Monika wymienili się spojrzeniami.

– Terry, to co mówisz jest tak szalone, że aż trudno w to uwierzyć – stwierdziła wreszcie Monika. – Masz szczęście, że trafiłeś na nas, na osoby z otwartymi umysłami. Wyznajemy zasadę, że zanim coś definitywnie odrzucimy, musimy to najpierw zbadać.

– Macie moją dokumentację oraz dokumentację z Gran Sasso. Wszystko dokładnie opisywałem. Poradzicie sobie – rzekł Terry wyłączając urządzenie.

– Sam je zbudowałeś? – zapytał Robert spoglądając na Terry’ego.

– Tak. Oryginał został skonfiskowany przez wojsko. To jest drugi egzemplarz, myślę, że lepszy od pierwowzoru. Przepływ strumienia pola oraz pozyskiwanie informacji jest szybsze. Akceleracja cząstek powinna być zbliżona do tego, co macie w CERN. Jednak pobór mocy ogranicza użycie w pełnym zakresie.

Monika i Robert zdjęli z głowy „hełmy” i odłożyli na sofę. Monika wpatrywała się w dziwny twór, przypominający z zewnątrz silnik samochodowy. Ciekawość uruchomiła procesy myślowe, znacznie wykraczające poza racjonalne naukowe podejście wyniesione ze studiów i późniejszej pracy. Robert spojrzął na nią i uśmiechnął się.

– Terry. Mam do ciebie prośbę – wycedził wolno.

– Słucham – odpowiedział, krzątający się przy urządzeniu.

– Co byś powiedział na to, że chcielibyśmy pożyczyć sobie twoje urządzenie – zasugerował Robert.

– Powiedziałbym, że to dobry pomysł, jeśli chcecie prowadzić badania nad tym zjawiskiem.

Terry obrócił się, spojrzął na Roberta, a następnie na Monikę intensywnie wpatrującą się w stojące na wielkim drewnianym stole urządzenie.

– Niesamowite! Wy poważnie o tym myślicie. A to oznacza, że mi uwierzyliście.

– Uwierzymy tak do końca, jak już ją przetestujemy u siebie, w CERN. Wyślemy ci szczegółowy raport. Co ty na to? – zapytała Monika.

– Jasne. Czemu nie. Ja i tak nie mogę tutaj prowadzić badań – powiedział spoglądając z żalem na maszynę.

– Pomóż mi ją przenieść – powiedział Robert – Monika, idź, proszę, i przygotuj samochód.

– Czekajcie. Prościej będzie załadować je w garażu. Monika wjedzie do środka. Będzie nam łatwiej. Pójdę wyprowadzić mój samochód.

Uwinęli się bardzo szybko. Urządzenie, które Monika już ochrzciła „komunikatorem”, znalazło bezpieczne miejsce w tyle jej terenowego samochodu.

Cała trójka stała na podjeździe do posesji Terry’ego.

– Dziękujemy za gościnę i sporą dawkę niecodziennych przeżyć – powiedział Robert. – Coś mi się zdaje, że ten dzień będzie należał do pamiętnych w moim życiu.

– Gdybyście potrzebowali pomocy lub mieli pytania, dzwońcie. Ewentualnie, jeśli nie będziecie mieli nic przeciwko, mogę osobiście przyjechać i wam pomóc – powiedział Terry spoglądając z nadzieją w oczach na Monikę i Roberta.

– To nie zależy tylko od nas. Musimy uzyskać zgodę kierownika naszego działu. Jeśli się zgodzi, wyrobimy ci przepustkę asystenta projektu – odpowiedziała Monika.

– To chyba najlepsze rozwiązanie – zgodził się Robert.

– Byłoby super. No to spokojnej i szerokiej drogi. Aaa! i jeszcze jedno... – Terry schylił się i zaczął szeptać Robertowi do ucha – proszę, nie mówcie nikomu, od kogo to macie. Nie mam ochoty pójść do więzienia. Możliwe, że ci dranie nadal mają mnie na oku.

– Oczywiście. Masz moje słowo.

– Dziękujemy za wszystko i do zobaczenia – powiedziała Monika i zapuściła silnik.

– Cześć – pożegnał ich Terry.

Przez jakiś czas jechali milcząc i przyglądając się krajobrazowi. Mieli przed sobą sześć godzin jazdy. Nie chcieli nocować u Terry’ego – niecierpliwość wywołana żądzą wiedzy popychała ich do jak najszybszego wyjazdu. Kiedy po jakimś czasie emocje nieco opadły, Monika zadała sobie proste pytanie: czy ja oszalałam?

– Co o tym sądzisz? – zapytała Roberta.

– O czym?

– O całej tej historii. O dzisiejszym dniu. Cholera! – krzyknęła nagle. – Zapomniałam zadzwonić do Bernarda. Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest mój telefon?

– Z tego co pamiętam, to już go raz szukałaś po kieszeniach, ale go nie znalazłaś. Może zostawiłaś w domu. Cały ten pośpiech. Każdemu może się zdarzyć.

– Miałam Bernardowi dać znać, jak dojadę. On mnie zabije.

– Myślę, że to zagrożenie, to przyszc w porównaniu z tym, co kryje się w dokumentacji, którą wieziemy. Może uda nam się przyzwać Godzillę? – wykrzywił się w udawanym strachu.

– Terry’emu jakoś nie było do śmiechu – stwierdziła Monika z wyjątkową powagą.

– Masz rację. Przepraszam. Jedno za to jest pewne, pani doktor.

– Taaak?

– Czeką nas cholernie dużo niewiarygodnie ciekawej pracy – rzekł Robert, poklepując ręką „komunikator” bezpiecznie umieszczony na tylnym siedzeniu.

TAJEMNICE PUSTYNI

22 czerwiec, Bamako

Słońce mocno przypiekało stalowe dachy afrykańskiej dzielnicy biedoty. Ludzie robili co mogli, aby w południe ukryć się przed żarem spadającym z nieba. Jedni używali ręcznie zrobionych wachlarzy, drudzy zanurzali swoje spieczone ciała w brudnej, spienionej, ale mimo wszystko, chłodnej, jak na afrykańskie warunki, rzece Niger.

Dwóch białych mężczyzn stało na Moście Męczenników, zbudowanym jeszcze za panowania francuskiego, bacznie przyglądając się ludziom zażywającym kąpeli. Na głowach nosili białe kapelusze. Jeden z nich rozgryzał nasiona słonecznika, a łupiny pogardliwie wypływał wprost na głowy kąpiących się ludzi. Najwidoczniej bardzo ich coś bawiło, gdyż co chwilę wybuchali gromkim śmiechem. Jeden z nich poklepał się nagle po kieszeniach i wyciągnął telefon. Rozmawiał przez chwilę, a następnie szturchnął swojego partnera i kiwnięciem głowy dał znak, że czas ruszać.

– Kurwa, ale skwar, zaraz się roztopię na tym cholernym moście. Mogliśmy po nich pojechać.

– Nie, to byłoby zbyt ryzykowne. Lepiej unikać lotnisk, poza tym zaraz będą.

– Ładne mi zaraz. Stoimy tutaj już dobre pół godziny. Kurwa, ale się ze mnie leje.

– Mogłeś iść się pomoczyć z „bambusami” – zaśmiał się jeden z nich.

– Śmiesz cię to? Oni kąpią się w tej wodzie razem z gównami. Tutaj, chyba nigdy nie będzie cywilizacji.

– Najpierw, niech nauczą się używać prezerwatyw. Potem może pogadamy o cywilizacji. A teraz do dzieła. To ma być stary, podniszczony autobus. Dużo bagaży na dachu.

Gael, oraz reszta jego kompanów, siedziała w zatłoczonym i brudnym pojeździe. Z lotniska odebrał ich przewodnik, który jak mu przekazano, czekał na grupę turystów z Francji. Plan wycieczki zakładał zwiedzanie Bamako. Zanim jednak mogli uraczyć swe oczy zabytkami stolicy Mali, ruszyli do hotelu. Taki przebieg wypadków całkowicie zbił z tropu żołnierzy. Cierpliwie jednak wyczekiwali momentu, kiedy wszystko zostanie im wyjaśnione.

– Gdzie my w ogóle jesteśmy? – przerwał nieznośne milczenie Juri.

– To Mali durniu! Takie państwo, gdzie prezydentem jest Dioncounda Traore – wyjaśnił mu Albeme.

– Aaa no tak, Traore światowa gwiazda futbolu! – zakpił z niego Juri.

Albeme spojrział na niego wzrokiem pełnym zażenowania.

– Czytałeś akta? 21 marca 2012 roku dokonano w tym kraju zamachu stanu.

– Po co prezydent miałby to robić? – zaśmiał się Juri.

– Kurwa! – wtrącił się Pchła. – Juri pograżasz się. Prezydenta nie było wtedy w kraju. Amadou Sanogo, przywódca junty wojskowej, ogłosił rozwiązanie wszystkich instytucji republiki, w tym również Zgromadzenia Narodowego. Między innymi, dlatego tutaj jesteśmy.

– Swoją drogą głupie posunięcie. Zachodnie społeczeństwa nie lubią, gdy ktoś pozbawia ludzi demokracji – dołączył się do dyskusji Gael.

– Pewne jest jedno, Amadou Sanogo nie należał do grona genialnych dyplomatów – skwitował całą rozmowę Pchła.

– Po prostu bądźcie czujni. Nie ufają obcym – ostrzegł porucznik.

Stary autobus bujał się jak huśtawka to w prawą to w lewą stronę. Z każdym kolejnym przystankiem liczba osób na metr kwadratowy zwiększała się. Atmosfera gęstniała wraz z temperaturą, która dobiegała do krytycznego jak na Europejczyków poziomu.

– Nie ma tutaj klimatyzacji? – krzyknął Juri do Albeme. – Zapytaj się w ich języku.

– Oszalałeś Juri. Co z tobą? Pierwszy raz w takich warunkach? – zapytał Pchła.

– Pierwszy raz w pierdolonym wypełnionym po brzegi autobusie, bez klimatyzacji oraz z bagażem między nogami jakieś baby, która się do mnie ciągle uśmiecha – odpowiedział podirytowany.

– Niedługo wysiadamy. Wypatrujcie dwóch facetów w białych kapeluszach. To nasi przewodnicy – oznajmił Gael.

– Z czego one się tak śmieją? – zapytał Juri wskazując palcem na kilka kobiet.

Albeme zapytał w ojczystym języku. Rozmowa była bardzo krótka.

– Mówią, że jesteś czerwony. Nigdy nie widziały czerwonego mężczyzny – odpowiedział Albeme.

– Nie wiedziałem, że są czarni rasiści – zdziwił się Juri. – Wydawało mi się, że to domena białych.

– Cisza. Widzę ich – uspokoił ich Gael. – Wsiadka panowie!

Autobus zatrzymał się. Żołnierze jak najszybciej opuścili pojazd. Kolbert wdrapał się na dach i zaczął rzucać bagaże.

– Zostaw to – zawołał do niego jakiś mężczyzna. – Daj chłopakowi zarobić. To jego dola – wskazał palcem na pomocnika kierowcy, który dawał znać, że się tym zajmie.

– No, właśnie chciałem mu pomóc – odpowiedział Kolbert. – Ale skoro taki zwyczaj...

– Daj mu kilka euro. To mu najbardziej pomoże – zaproponował mężczyzna.

Kolbert wyjął z portfela monetę o nominale dwóch euro i wręczył młodzieńcowi. Oczy dzieciaka zapaliły się tak, jakby otrzymał sztabkę złota. Kierowca co jakiś czas trąbił, zapewne w nadziei, że naciskanie na klakson dwa razy na sekundę, przyspieszy proces wyładunkowy. Niestety, jego nadzieja okazała się całkowicie płonna. Chłopiec, w takim tempie w jakim rozpoczął swoją pracę, w takim samym tempie ją skończył, choć, biorąc pod uwagę upał, zwinął się całkiem szybko.

Dwaj mężczyźni zbliżyli się do grupy.

– Witajcie. Ja nazywam się Smith, a to jest mój partner, pan Smith – zażartował uśmiechając się szelmowsko. – Cieszymy się, że możemy was oprowadzić po Bamako. Czasy są niespokojne, ale mamy nadzieje, że wasz urlop okaże się udany – wyrecytował niczym zawodowy przewodnik. – No dobrze, to tyle, jeśli chodzi o część oficjalną. Proszę za mną. Wszystkiego dowiecie się na miejscu.

Grupa zebrała się i tak, jak im kazano, podążyła za swoimi przewodnikami. Było gorąco i parno. Szli ciasnymi uliczkami Bamako, omijając główne arterie miasta. Odprowadzały ich spojrzenia tubylców, przyglądających się z zaciekawieniem nietypowej grupie Europejczyków. Po kilkunastu minutach marszu, mężczyźni zatrzymali się przed budynkiem o nazwie Hotel Mirabeau.

– To tutaj – powiedział mężczyzna. – Zameldujcie się w pokojach. Pośpieszcie się.

– Słyszeliście. Zostawiamy rzeczy w pokojach i od razu wychodzimy – zarządził Gael.

Żołnierze uwinęli się bardzo szybko. Nie minęły dwie minuty i wszyscy byli na dole. Dwóch mężczyzn popatrzyło na nich z niedowierzaniem.

– Co tak szybko? – rzekł jeden z nich. – Nie zdążyłem nawet zakopcić. Dobra, nieważne. Zapraszamy do auta.

Przed budynkiem stała mała, biała furgonetka. Bez okien. Raczej do wożenia towarów, niż ludzi. Jeden z mężczyzn odsunął boczne drzwi. W środku zamontowano prymitywne siedzenia. Furgonetka, jak widać została przystosowana do wożenia podróżnych. W pojeździe panował niesamowity skwar.

– Nie zamykajcie drzwi podczas jazdy, bo się ugotujecie – poradził im, uśmiechając się krzywo pan Smith.

Zapakowani do tego, jakże eleganckiego, środka komunikacji, rozpoczęli uciążliwą z powodu upału podróż – trwała nie dłużej niż czterdzieści minut. Najpierw jechali wąskimi uliczkami Bamako, aż dotarli na przedmieścia. Z czasem zniknęły i one. Mijali czerwonawą, wypaloną słońcem ziemię, drzewa o zaskakująco rozwiniętych koronach, gdzie nie gdzie chatynki.

– Wywożą nas gdzieś dalej, aby nielegalnie pobrać od nas narządy – ponuro oświadczył Kolbert. – Tak to się skończy, zobaczycie.

– Och, zamknij się – uciszył go Pchła. – To nawet nie jest śmieszne.

– Taki tu skwar, że nawet nie mam siły, aby was obsobaczyć – wychrypiął Juri.

Gael popatrzył na kolegów. Faktycznie, było upiornie gorąco, ale zdarzają się na świecie takie miejsca, gdzie upalne powietrze, jest najmniejszym zmartwieniem.

– Gdybym was nie znał, pomyślałbym, że mam do czynienia z cipkami – skwitował całą sytuację.

– Polatałoby się Black Hawkiem, co? Otwarte drzwi, duuużo świeżego powietrza, chłodny wiaterek, od dobrobytu w dupach się poprzewracało – dostroił się Pchła. – Przypomnijcie sobie czasy selekcji.

– Ano, nie wiem, jak mogłem tak tyrać. Człowiek młody był i głupi – powiedział Tusambe.

– O proszę! Nasz czarny brat się odezwał. Cały czas milczał! – zaśmiał się Kolbert.

– Nie lubię mleć jęzorem, jak niektórzy – odgryzł się Tusambe.

– Albeme, a ty nic nie powiesz? – zapytał z zaciekawieniem Pchła.

Albeme spojrział na wszystkich, nieznacznie wzruszając ramionami, po czym utkwiał wzrok w przepływającym krajobrazie. Żołnierze zamilkli jego wzorem, nie mieli ochoty na dalsze przekomarzanie. Skwar powodował, że myśleli już tylko o opuszczeniu tego piekarnika na kółkach.

Małe przesuwne okienko, umieszczony w ścianie oddzielającej pasażerów od kierowcy otworzyło się.

– Dojeżdżamy – usłyszeli.

Samochód zjechał z głównej drogi kierując się do samotnej posesji. Stał tam spory, wykonany z betonu budynek. Z zewnątrz, na pierwszy rzut oka, wyglądał na opuszczony. Brudne ściany, zniszczona żeliwna brama wjazdowa oraz bałagan na podwórku powodował, że nikt z przejeżdżających główną drogą nie pomyślałby, że mieści się tu jedna z siedzib amerykańskiego wywiadu. Wjechali do środka. Zatrzymali się przy starym hangarze sąsiadującym z betonową przybudówką. Wszyscy wysiedli.

W środku stał komitet powitalny, w postaci dobrze znanego Davida Foxa oraz dwóch innych mężczyzn. Żołnierze odruchowo ustawili się w szeregu.

– Dotarliście szczęśliwie. Bardzo dobrze – rzekł Fox. – Zapewne macie dużo pytań, zatem nie przeciągajmy. Proszę za mną.

Cała grupa posłusznie podążyła za agentem. Poprowadził ich przez betonowy, zrujnowany korytarz. Na podłodze walały się rozbite butelki, jakieś cegły, blachy i inne bliżej nieokreślone śmieci. Miało to sprawiać wrażenie ruiny i wywiązywało się z tego znakomicie. Na samym końcu korytarza zaskakiwały jednak metalowe, już na pierwszy rzut oka bardzo solidne drzwi. David pochylał się. Mały, sprytnie zakamuflowany czytnik zeskanował mu siatkówkę oka. Drzwi natychmiast rozsunęły się z cichym młaśnięciem. Ze środka powiało przyjemnym chłodem, a oczom ekipy ukazała się spora winda – wszyscy załadowali się do środka bez trudu. David Fox wybrał poziom minus cztery. Ruszyli.

– A gdzie relaksująca muzyczka? – teatralnym szeptem spytał Pchła. Nikt nie skomentował, a agent Fox się nadął, za to reszta zespołu tylko szeroko uśmiechała się pod

nosem. Cisza wypełniła kabinę. Jedyne, co dawało się odczuć, to zapach spoconych ciał i przyjemny chłód klimatyzacji. W końcu zatrzymali się.

– Witam wszystkich w centrum operacyjnym działań specjalnych i wywiadowczych – uroczyście oznajmił David Fox.

Grupa ruszyła za nim. Szli korytarzem mijając pracowników. Przechodząc obok jednego z przeszklonych pomieszczeń, Gael zauważył centrum sterowania operacjami: ekrany monitorów, wytyczne, mapy oraz holograficzny zapis aktywnych sekcji w terenie. Znał to bardzo dobrze. Siecio-centriczna doktryna wojskowa stała się podstawowym narzędziem działania, podczas wykonywania operacji militarnych.

Znaleźli się w pokoju z kilkudziesięcioma miejscami do siedzenia. Przed nimi była tablica stosowana do prezentacji. Dwie amerykańskie flagi zdobiły lewy i prawy róg pomieszczenia. Na samym środku dumnie widniał symbol CIA wraz z godłem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Żołnierze usiedli w pierwszym rzędzie. David Fox odprawił skinieniem dłoni dwóch towarzyszących im przez cały czas mężczyzn. Przesiadł na rogu stołu. Wziął do ręki pilota. Światła w pomieszczeniu zgasły.

– Gorąco, nieprawdaż? – zażartował. – Na mapie widzicie terytorium Mali. Nasza baza znajduje się niedaleko Bamako. Jak wiecie, w 2012 roku wybuchła wojna domowa pomiędzy armią malijską, a ekstremistycznymi bojownikami Tuaregami. Celem powstańców było powołanie do istnienia islamistycznego państwa o nazwie Azawad.

David wstał i podszedł do mapy. Laserowym wskaźnikiem wycelował w punkt o nazwie Taoudenni.

– Jak wiecie siły francuskie wyparły bojowników i w chwili obecnej zaprowadzany jest tam porządek. Jednakże niedobitki Al-Kaidy, Islamskiego Maghrebu, Ruchu na Rzecz Jedności i Dżihadu w Afryce Zachodniej oraz Ansar Dine ukrywają się tam nadal. Mogą przygotowywać zamachy lub działania dywersyjne. Liczcie się z tym. Miasto, które wskazałem jest naszym punktem docelowym. Wiemy, że właśnie gdzieś tam swoje bazy ma Al-Kaida. Ogólnie panuje tutaj niezły burdel. Każdy walczy z każdym.

– Podczas wylotu dostaliśmy informację, że mamy zbadać nieczynne kopalnie soli – wtrącił się Gael.

– Cóż – burknął Fox – z Timbuktu, do baz Al-Kaidy na północy, wiodą podziemne tunele długie na setki kilometrów. Nie wiemy, kto je zbudował. Na pewno nie terroryści. Skanowany obszar przez nasze satelity pokazał, że jeszcze tydzień temu silne promieniowanie znajdowało się gdzieś tutaj – wskazał nieznane miejsce na pustyni. – Dwa dni temu pomiary mówiły z kolei, co innego. Slajd pokazywany na monitorze komputera zmienił się. Fox wskazał laserem ponownie północną część Mali.

– To okolice Taoudenni – przerwał Albeme.

– Stąd ten pośpiech – dodał Gael. – Boicie się, że to coś całkowicie zniknie.

Fox uśmiechnął się krzywo poprawiając okulary.

– Bystrzacz z ciebie. Najnowsze informacje, jakie otrzymaliśmy od grupy wywiadowczej mówią, że obiekt, który śledzimy, lub cokolwiek to jest, znajduje się w dawnych podziemiach i bazach zajmowanych prawdopodobnie przez Al-Kaidę. W ciągu kilku godzin obiekt został przemieszczony o sześćset kilometrów na północ, w głąb pustyni. Szybko, nieprawdaż?

– Mają śmigłowce? – dopytał Juri.

– Nie wiemy. Satelity oraz bezzałogowce nie wychwyciły żadnego ruchu powietrznego. Nie mamy pojęcia jak oni to przetransportowali – wyjaśnił starannie Fox.

– Czy wiadomo co to jest? – zapytał Pchła.

– Prawdopodobnie walizkowa bomba jądrowa – oświadczył z niewzruszonym spokojem Fox. – Może być rozszczelniona, gdyż okolica została wyludniona a górnicy wraz z

mieszkańcami Taoudenni albo umarli albo uciekli. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że gdyby coś takiego dostało się w ręce terrorystów, to mielibyśmy duże kłopoty.

– Rozumiem. Mamy przejąć bombę. Co z promieniowaniem? – zapytał Gael.

– Zostaniecie nafaszerowani lekami antyoksydacyjnymi, dodatkowo łykniecie kilka radblocków oraz cystaminę. Przez dwadzieścia cztery godziny nie musicie się o nic martwić. Dodatkowo dostaniecie kombinezony ochronne i maski. Zmniejszymy wrażliwość waszych komórek na działanie promieniowania jonizującego poprzez zahamowanie tworzenia wolnych rodników. Na jakiś czas nie powinniście się tym martwić.

Grupa popatrzyła po sobie. Dały się słyszeć nerwowe szepty.

– Na jakiś czas? Nie jesteśmy królikami doświadczalnymi! Wyślijcie grupy, które zajmują się tymi zadaniami – zaprotestował Gael patrząc na Foxa.

Fox spowaźniał. Podeszedł kucając przed nim.

– Wyśleliśmy. Straciliśmy z nimi kontakt. Niestety, zostali albo przejęci albo zabici. Dlatego potrzebujemy komandosów. Wywiad nie ma możliwości, aby przeprowadzać takie akcje. Nie szklono nas do walki w podziemnych kompleksach. Naszym zadaniem jest pozyskiwanie informacji. To wy jesteście od brudnej roboty. Chcieliśmy oczywiście po cichu wysłać amerykańskich chłopców, ale to wasz rząd się nie zgodził. Zatem jedyne, co wam pozostaje żołnierzu, to wykonywać moje – zaakcentował to słowo wskazując palcem na siebie – rozkazy.

– Rozumiem – przytaknął Gael. „Nerwowy ten Fox”, skomentował w myślach.

– Spokojnie Gael poradzę sobie – wtrącił się do rozmowy Kolbert. – Znam się na tych pakietach, szkoliłem się w działaniach w środowisku skażonym.

– Operacja rozpocznie się dzisiaj w nocy – Fox podeszedł do tablicy. – Zostaniecie przetransportowani śmigłowcami na teren pustyni. Koordynaty są w rozkazie. Waszym zadaniem będzie wejście do kompleksu kopalni, odnalezienie obiektu i zdobycie informacji o wysłanych żołnierzach. Powrót do domu. Proste, prawda? – przedstawił w skrócie sytuację.

– Potrzebujemy sprzętu – rzekł Juri. – Chyba, że mamy ich wszystkich wykończyć śmiechem?

– Skąd wiesz, że w ogóle kogoś tam zastaniesz? – stwierdził Fox uśmiechając się tajemniczo. I dodał po chwili:

– Dostarczymy całe wyposażenie, jakie będzie wam potrzebne. Jeszcze jedno, pod ŻADNYM pozorem – Fox zaakcentował to słowo – powtarzam, pod ŻADNYM pozorem nie wolno wam dotykać bomby lub tego, co tam zastaniecie. Promieniowanie zabije was w kilka sekund. Otrzymacie specjalne opakowanie. Jak najszybciej musicie zamknąć obiekt w środku. Zrozumieliście?

Przytakneli głowami.

– Pytania?

– Co w przypadku, gdy zastaniemy tam przetrzymywanych zakładników, zaginionych żołnierzy?

– Jeśli się da, uratować. Jednak pamiętajcie, że waszym priorytetem jest obiekt emitujący promieniowanie. Nazwaliśmy go, może niezbyt oryginalnie, Pandora. Łatwe do zapamiętania – odpowiedział ze spokojem Fox.

– Kim byli żołnierze? Jak wyglądają? Rysopis, zdjęcia. Chcemy mieć wszystko, co pomoże nam w ich identyfikacji – dodał poważnie Gael.

– Wszystko znajdziecie w aktach, które otrzymacie z rozkazem. ISOPREPy też tam są.

– Spodziewany opór? – zapytał Kolbert.

– Może miejscowi watażkowie i szabrownicy lub złodzieje. Lekkie uzbrojenie, karabiny Kałasznikow. Dodatkowo mogą być wyposażeni w wyrzutnie przeciwpancerne. Nie wiemy, czy teren nie jest zaminowany.

– Spokojnie. Jestem saperem... – uśmiechnął się Albeme.

David obrzucił grupę żołnierzy swoim zmęczonym i nieco mętnym wzrokiem. Kiwnął głową na znak, że znakomicie rozumie sytuację, w jakiej się znaleźli.

– Niestety, nie mamy zdjęć tego, co znajduje się w tych jaskiniach. Musicie zejść tak głęboko aż odnajdziecie Pandorę. Nie jestem w stanie powiedzieć czego możecie się spodziewać. Jedno jest pewne. Misja, w której bieżecie udział ma najwyższą klauzulę tajności. Jeśli to jest bomba, to musicie wszystko zrobić, aby nie dostała się w ręce terrorystów. Czy to jest jasne?

– Wystarczająco jasne, jak na razie – odparł Juri.

– Wyśmienicie. Zostawiam wam rozkaz i akta sprawy – powiedział Fox kładąc teczkę z dokumentami na stół. – Zapoznajcie się z tym wszystkim i opracujcie plan działania. Przyjdę po was – zerknął na zegarek – za sześć godzin. Powodzenia. Acha, jeśli zgłódniejecie, to na drugim piętrze jest stołówka.

– Dzięki. Micha nigdy nie jest złym pomysłem – wyszczerzył się Pchła.

David Fox, stary lis amerykańskiego wywiadu opuścił ciężkim krokiem salę odpraw. Żołnierze zaś rozlokowali się wygodnie przy stole i rozpoczęli przeglądanie dokumentów. W aktach zasadniczo było wszystko, czego potrzebowali. Mapy, zdjęcia, informacje o uzbrojeniu potencjalnego przeciwnika, wykresy oraz opisy miejscowej flory i fauny. Gael czytał to wszystko, sprawdzał i analizował. W głowie jednak cały czas pobrzmiwała mu myśl, że może Xavier miał rację i cała ta operacja jest tylko po to, aby odblokować szlak narkotykowy.

Mijały minuty, zamieniały się w kwadransy, te zaś z kolei w godziny. Z upływem czasu powstawał i konkretyzował się plan działania. Stwierdzili, że podzielą się na trzy sekcje bojowe po dwóch żołnierzy. Będą działać w tak zwanych „buddy teamach”. Pierwsza sekcja będzie składać się z Juriego oraz Tusambe, druga z Gaela i Kolberta oraz trzecia z Pchły i Albeme.

Największym problemem okazało się ustalenie, jakie warunki zastaną w kopalni. Według mapy, korytarze ciągnęły się w nieskończoność. Dawno temu, gdy Ziemia przechodziła transformację, na terenie Sahary było ogromne jezioro. Stwierdzili jedynie, że korytarze, prawdopodobnie są pozostałością po zbiorniku rzeczonym. A wobec braku innych pożytecznych informacji, należało być przygotowanym na wszystko, na niespodzianki wszelkiego rodzaju.

Jako uzbrojenie zaproponowano karabinki H&K 416 z krótką lufą, poręczniejsze w walce w pomieszczeniach oraz karabin wyborowy M110. Na liście znalazły się kamizelki taktyczne oraz granaty. Do tego zapasowa amunicja, baterie, racje żywnościowe, sprzęt biwakowy i optyka – noktowizja wraz z termowizją. Gdy Pchła podliczył wszystko, to okazało się, że przypadnie około trzydziestu kilogramów na głowę. Dużo, ale zdarzało się dźwigać więcej.

Do pomieszczenia wszedł David Fox. Spojrzał na pracujących niczym mrówki żołnierzy. Uśmiechnął się.

– Gotowi? – zapytał grzecznie.

– Tak. Lepiej już nie będzie – odpowiedział Gael.

– Zatem zapraszam za mną. Wyruszamy za godzinę.

Magazyny znajdowały się na drugim piętrze podziemnego kompleksu. Żołnierze otrzymali mundury w maskowaniu pustynnym, liny wraz z przyrządami zjazdowymi, latarki, nakolanniki, noże, rękawiczki, kamizelki, pasy nośne, zapasowe baterie, radiostacje oraz wszelkiej maści oprządzenie taktyczne potrzebne w misji wraz z bronią i amunicją.

– No, no, nie sądziłem, że CIA posiada tej klasy wyposażenie – powiedział Pchła, oglądając gogle noktowizyjne. – Czwartą generacją, z szerokim kątem widzenia. Nieźle.

– Mało nas – rzekł Juri. – Potrzebujemy wsparcia, w razie, gdyby coś poszło nie tak.

– Nie możemy wam zapewnić odwodów. To zbyt ryzykowne. Nikt nie może dowiedzieć się, co tam robimy – powiedział Fox. – Takie są wytyczne. Zostawiam was. Będę czekał przy śmigłowcu.

– Czyli gdzie? – zapytał Juri.

– Windą do samej góry. Dalej traficie bez problemu.

Fox opuścił pomieszczenie, a żołnierze pożegnali go szyderczym uśmiechem.

– Nie ufam mu – zwierzył się Pchła.

– Nie tylko ty – odparł Gael. – Do roboty.

– Co z łącznością? – zapytał Tusambe.

– Okno co cztery godziny od momentu zrzutu. Zresztą prawdopodobnie i tak ją stracimy, gdy zejdziemy głęboko pod ziemię. Łączność z bazą ustawiam tylko na odbiór – wyjaśnił dokładnie Juri.

– Od kiedy terroryści mają możliwości nasłuchiwania i wykrywania łączności radiowej? – zapytał ironicznie Kolbert.

– Nie wiem. Rozkaz to rozkaz – zmałpował Foxa Pchła. – Słuchać się tego, co mamy w wytycznych, a wrócimy cało. Podobno.

– Wszystko mamy? Ładunki wybuchowe, broń, amunicja, żywność i inne? Gotowi do drogi? – zapytał Gael.

– Tak! – krzyknęli chórem.

– Idziemy, śmigło czeka – zakomenderował dowódca.

Komandosi, obciążeni ekwipunkiem ruszyli do widny. Kilka minut później znaleźli się na powierzchni. Lądowisko ukryte pomiędzy wzgórzami nie wyglądało na często używane. Obok wielkiego i zaniedbanego hangaru, stały trzy śmigłowce Black Hawk. Skierowali się do jednego z nich. W kabinie siedział pilot wraz z pomocnikiem. David Fox czekając na nich dopalał papierosa. Na zewnątrz panował mrok, a jaśniejące gwiazdy na niebie wróżyły dobrą pogodę.

– Lecę z wami – rzekł Fox. Wyładujemy was i się zmywamy. Śmigłowiec ewakuacyjny będzie w pogotowiu. Czy wszystko jasne?

– Jeszcze jedno. W razie utraty łączności ustawiamy się na sztywno, tak jak w EPACH. Co każde dwanaście godzin szukajcie nas w miejscu lądowania – zaproponował Gael.

– W razie, czego CSAR znają wasz plan unikania wraz z korytarzem. Znajdziemy was – potwierdził Fox.

Odgłos elektrycznego silnika rozruchowego, zastąpiony potem przez huk turbiny, wypełnił powietrze. Śmigła rozpoczęły szaleńczy taniec, kręcąc się coraz szybciej. Podmuch wzbił, walające się w okolicy śmieci. Maszyna zaczęła się unosić. Wystartowali.

Noc była gwiazdzista. Lecieli nad zrujnowanymi, opustoszałymi obszarami, wyludnionymi miastami oraz wioskami, które przypominały bardziej wysypiska śmieci niż gospodarstwa domowe. Śmigłowiec wzbił się najwyżej, jak potrafił, w celu uniknięcia rozpoznania wzrokowego. Mieli nadzieję, że przeciwnik nie posiada radarów wysokiej klasy. Pozbawiony światła, niczym sokół przecinał nieboskłon. Żołnierze milczeli. Skupieni, koncentrowali się na zadaniu. Żeby tylko nie popełniać głupich błędów, które czasami kosztują życie kolegów lub własne.

„Podobno największe przyjaźnie zawiera się z ludźmi, z którymi staje się w obliczu zagrożenia. Wspólna niedola i cierpienie zbliża do siebie. Pozwala na zrozumienie faktu, że w gruncie rzeczy płaczemy, śmiejemy się i znosimy ból w zasadzie tak samo. Podziały na lepszych i gorszych. Kto je wymyślił? Czy ludzkość posiada ukrytego, zacząjonego w ciemności wroga, który narzuca nam sposób myślenia, wroga o którym nikt nigdy nie słyszał? Przycząjonego, niczym drapieżnik czyhający na ofiarę?” – myśli jedna o drugą objały się w głowie Gaela nie dając mu spokoju.

„Udział w niebezpiecznych misjach, wykonywanie karkołomnych zadań, potencjalne zagrożenia pokazują jedną bardzo istotną sprawę – życie, jego wartość, jest kwestią wyboru strony, którą się wspiera. Sam, jako jednostka, człowiek nic nie znaczy.”

– Przyziemienie za dwie minuty – usłyszeli wszyscy w słuchawkach.

Maszyna zniżyła lot. Zarówno piloci, jak i pasażerowie, włączyli urządzenia termowizyjne. Sprawdzali, czy w okolicy lądowania jest bezpiecznie. Odgłos pracujących silników słychać z wielu kilometrów. Śmigłowiec osiadł na skamieniałej od słońca ziemi, przez którą popychane wiatrem pędziły drobiny pyłu i piasku. Opuszczenie go wraz z wyładunkiem sprzętu zajęło grupie zaledwie kilkadziesiąt sekund. Otoczyli go tworząc obronę okrężną, czyli okrąg, w którym każdy z żołnierzy, leżąc na ziemi, pilnował swojego sektora. Formacja w ten sposób wykonana, pozwalała na obserwację przedpola wokół strefy lądowania. Chwilę później byli już sami.

Leżeli jeszcze przez kilka minut, nasłuchując, czy ich lądowanie nie wzbudziło czyjś niezadowolony zainteresowania. Urządzenia termowizyjne nadal nie wykazały obecności żywych stworzeń. Nikogo tu nie było, tylko piach i skały.

Gael wstał i podszedł do Pchły klepiąc go w ramię. Wyjęli mapę i GPS’a.

– Według naszych współrzędnych powinniśmy kierować się na azymut zero, pięć, sześć – wskazał palcem.

– Tak. Odległość do celu to jakieś dziesięć kilometrów – potwierdził Pchła, również spoglądając na mapę i GPS’a.

– Twoja sekcja prowadzi. Ja i Kolbert idziemy w środku. Zamykają Juri z Tusambe – wydał rozkaz dowódca.

Żołnierze skinęli głowami. Gael wskazał ręką kierunek marszu, a następnie, układając palce w specjalnym geście, dał kompanom znać, jaką formację patrolową przyjmują. Smagani piaskiem nawiewanym z półpustyni ruszyli w ciszy przed siebie.

Formacja przypominała literę V. Każdy z żołnierzy krył swój sektor. Gdy zbliżali się do wzgórz, przyjmowali formację tyraliery, idąc jeden obok drugiego.

Pchła błyskawicznie kucnął i podniósł lewą, zaciśniętą dłoń do góry. Dla reszty był to znak, że coś zauważył. Wyjął lornetkę i rozpoczął obserwację otoczenia. Gael, najszybciej jak mógł, podczołgał się do niego.

– Co widzisz? – zapytał.

– Jeszcze nic. Wydawało mi się, że coś zobaczyłem. Błysk – odpowiedział.

– Odległość?

– Jakieś dwa kilometry. Dokładnie przed nami.

– Sprawdzę nokto.

Gael położył się obok Pchły i poprzez lornetkę noktowizyjną sprawdził otoczenie. Oprócz pofałdowanego, piaszczystego terenu nie było nic widać.

– Nic tam nie ma. Idziemy dalej – stwierdził.

Ruszyli. Marsz przez pustynię nie należy do przyjemnych. Żołnierze bardzo dobrze o tym wiedzieli. Powiedzenie Legii Cudzoziemskiej „kto nie maszeruje, ten ginie”, dobrze oddawało ducha i specyfikę tej formacji zbrojnej. Posuwali się bardzo wolno. Ciężkie, wypełnione po brzegi plecaki nie ułatwiały przemieszczania. Nogi zapadały się w grząskim i niestabilnym piasku. Wiatr wzmagał się i coraz bardziej ograniczał widoczność. Było po północy. Do świtu zostało kilka godzin. Czas przestawał być po ich stronie.

– Mogli nas zrzucić na spadochronach – mruknął zrzędlawie Juri.

– Nie narzekaj. Nie jest źle – odpowiedział Tusambe.

– Łatwo ci mówić. Ty nie dźwigasz tego cholerstwa – Juri spojrzął na karabin wyborowy.

– Będziesz narzekał, będzie jeszcze gorzej – skwitował zrzędlawość kolegi Tusambe, po czym klepnął go w ramię.

– Ciii – Gael dał znać aby się zamknęli.

Po kilku godzinach marszu Pchła ponownie dał sygnał, że należy się zatrzymać. W chwilę po tym, Gael był już obok niego. Spojrzeli przed siebie. Daleko, ponad kilometr, widać było ogrodzenie oraz ruiny starej kopalni. Pchła dokładnie sprawdził otoczenie. Na terenie kopalni znajdowali się jacyś osobnicy. Nie była opuszczona, jak twierdził wywiad.

– Ilu naliczyłeś? – zapytał porucznik.

– Pięciu, nie sześciu – odpowiedział.

– Ja też. Co oni tutaj robią?

– Pewnie pilnują swojego towaru. Może wywiad nie spartolił roboty i faktycznie coś tam jest?

– Tiaa, a myślałem, cholera, że pójdzie łatwo.

Gael odwrócił się do reszty grupy. Dał sygnał do zbiórki.

– Zakładamy tutaj posterunek. Czas obserwacji godzina – powiedział do Juriego.

– Jasne – odrzekł kładąc się na ziemi w postawie strzeleckiej.

– Alpha idziecie z lewej strony. My idziemy z prawej. Nie strzelać. Czekać na mój sygnał.

Sekcje rozdzieliły się. Alpha, dowodzona przez Pchłę, szybko zajęła niewielkie wzgórze po lewej stronie kopalni. Gael z Kolbertem rozłożyli się po prawej stronie obserwując otoczenie. Czekali na rozwój wydarzeń. Według mapy wejście do podziemnych kompleksów było przed nimi. Jedyne problemy stanowili nieznajomi mężczyźni uzbrojeni, jak się okazało, w karabinki typu AK-47. Prawdopodobnie, jedno z ugrupowań terrorystycznych walczących o wolny Azawad. Ich zachowanie zdradzało, że niczego się nie spodziewają. Należało sobie postawić inne pytanie, ilu ich tam jeszcze jest i co tutaj robią?

– Juri – powiedział Gael przez radio – przygotuj się do zdjęcia dwóch przy bramie wjazdowej. Pchła, bierzecie dwóch przy kontenerze i wagonikach kopalnianych. My zajmujemy się ostatnią dwójką. Ciche wejście. Czekać na sygnał. Zrozumiano?

– Tak jest – rozbrzmiały komunikaty od żołnierzy.

Gael założył tłumik dźwięku na swój karabinek H&K 416. Podczołgali się na odległość około stu metrów, aby być pewnym trafienia. Było ciemno. Ponownie skalibrował celownik noktowizyjny, obliczył odległość i upewnił się, że na pewno trafi. Wiedział, że nikt ich nie zauważy. Uzbrojeni mężczyźni nie posiadali sprzętu optycznego i noktowizyjnego. Stali tam niczym tarcze strzeleckie.

– Wszyscy gotowi? – zapytał Gael przez radio.

Meldunki o gotowości spłynęły lawinowo.

– Uwaga. Trzy, dwa, jeden... – padł komunikat.

Noc była gwiaździsta, piękna lecz nie dla wszystkich. Czasami tak jest, że jedni wygrywiają, a drudzy muszą pogodzić się z porażką. W tym wypadku ci drudzy nie mieli nawet na to czasu. Sześć ciał leżało na ziemi skąpanych we własnej krwi. Wszystko wydarzyło się bezgłośnie. Nie czuli bólu, prawdopodobnie nic nie czuli... Była to w sumie dobra śmierć.

„Lepsze to, niż Guantanamo. Ciekawe, czy spotkali się z Allahem? Może teraz to oni śmieją się z nas”, pomyślał Gael.

Podeszli do bramy a następnie sprawdzili teren.

– Czysto – ocenił Tusambe.

Kolbert wyjął z plecaka wskaźnik promieniowania. Odczyt wyraźnie wskazywał na to, że są w dobrym miejscu. Nieznacznie przekraczało normę.

– Jaki wynik? – zapytał Pchła.

– Odczyty są nieco podwyższone. Około dziesięć milisiwertów na godzinę – odparł Kolbert.

– To dużo?

– Nie, ale dłuższe przebywanie może doprowadzić do choroby popromiennej. Ci tutaj – Kolbert wskazał palcem na leżące zwłoki – za kilka dni, prawdopodobnie już by nie żyli.

– Czyli przyspieszyliśmy to, co nieuniknione – stwierdził Gael.

– Tak jakby. Na wszelki wypadek radzę zażyć radblocki i cystaminę.

Żołnierze wstrzyknęli zalecaną dawkę, zgodnie z instrukcją. Nie mieli co prawda stuprocentowego przekonania, że to będzie ich chronić przez kolejne dwadzieścia godzin, ale zawsze lepsze to, niż nic.

– Myślisz, że to promieniowanie pochodzi od Pandory?

– Nie wiem. Coś mi tutaj nie gra – zamyślił się Kolbert.

– Co takiego?

– Jeśli jest to bomba, to tylko głupcy przenosiliby ją niezabezpieczoną. Jednak wtedy odczyt powinien być znacznie niższy.

– Chyba, że – Pchła rzucił im pod nogi zardzewiałą tabliczkę informacyjną – jest to dawna kopalnia uranu.

– CIA twierdzi, że to kopalnie soli – wtrącił się Kolbert.

– Srał na to pies. Tak czy siak musimy tam wejść – skwitował Juri.

– Idziemy? – zapytał Kolbert.

Gael kiwnął głową. Szyb kopalniany wyglądał na od dawna nieużywany. Zabrudzone szmaty, wysłużone narzędzia w nieładzie zdołały wąski tunel podtrzymywane przez stare, spruchniałe deski. Ciemność pochłonęła żołnierzy prowadząc ich w nieznaną. W środku brakowało śladów, które wskazywałyby na to, że ktoś używał tych tuneli jako kryjówek; brak jakiegokolwiek źródła światła, porozrzucane po ziemi rupiecie oraz zardzewiałe i kruszące się metalowe wsporniki, utrzymujące strop kopalni, wskazywały na to, że dawno nikt tutaj nie zaglądał. Poziom promieniowanie prawdopodobnie pojawił się wraz z przetransportowaniem bomby atomowej.

– Gael, coś tu nie gra – powiedział nagle Kolbert.

– To znaczy?

Grupa zatrzymała się. Zabezpieczyli przód i tył szybu kopalnianego. Starali się poruszać przy jednej ze ścian, jeden za drugim, jak kaczuszki śledzące swoją matkę.

– Poziom promieniowanie jest za wysokie na bombę walizkową. To miejsce bardziej przypomina pobojowisko, jakby pozostałości po jakimś starciu.

– Myślisz, że nastąpił tutaj wybuch lub używali amunicji ze zubożonym uranem? – zapytał Gael.

– Nie wiem, ale promieniowanie jest za wysokie. Nie widzę z kolei śladów po eksplozji. Po prostu to dziwne.

– Jesteśmy w starej kopalni uranu.

– Nieistotne, promieniowanie i tak znacznie przewyższa normy – zmartwił się Kolbert.

– Na pogaduchy wam się zebrało? – szepnął Pchła. – Jeszcze druga dupa mi urośnie jak dłużej tutaj zostaniemy.

Gael gestem ręki dał znać wszystkim, że ruszają. Z każdym krokiem grupa żołnierzy nieubłaganie zbliżała się do... czegoś.

– Radiostacja nie działa – zakomunikował Kolbert, co chwila poklepując ją. – Okno miało być, co cztery godziny.

Gael spojrzął na zegarek.

– Czyli za dwie minuty – odparł.

– Co robimy? – zapytał Pchła.

– Idziemy. Wracanie się przynosi pecha – szepnął porucznik.

Według obliczeń, zesłi jakieś dwieście metrów pod ziemię. Korytarz stawał się coraz bardziej wilgotny, ociekający śmierdzącym śluzem.

– Kurwa, co to jest? – wskazał ręką Tusambe.
– Nieistotne, nie zatrzymywać się. Nie jesteśmy na wycieczce krajoznawczej – ponaglił ich Gael. – Po prostu tego nie dotykajcie.

Grobowa cisza panująca w tunelu sprawiała, że czuli się niezbyt komfortowo. Minęła kolejna godzina. Kolejne kroki, setki metrów korytarza i ciemność. W końcu zatrzymali się.

– Nie wiem, gdzie idziemy, ale to trwa zbyt długo – poskarżył się Pchła.
– Musimy być blisko. Czytnik oszalał – stwierdził Kolbert rozglądając się po tunelu poklepując ścianę. – Radziłbym jak najszybciej to znaleźć i ewakuować się.
– Ile?
– Pół siwerta na godzinę. Dawka śmiertelna to około osiem siwertów. Obawiam się, że katastrofa w Czarnobylu to nic przy tym, co zastaniemy na dole.

Gael przetarł ręką spocone czoło.

– Zostało nam kilka godzin działania – dodał ciszej. – Jak promieniowanie może przenikać przez tak grube skały? – zapytał przyglądając się krzywo ociosanym głazom.
– Problem w tym, że nie powinno przeniknąć. Nie wiem, czego szukamy, ale... – zawahała się Kolbert – lepiej znajdziemy to szybko.
– Zakładamy kombinezony – rozkazał dowódca.
– W tym to dopiero będzie niewygodnie – dodał od siebie Pchła.
– Jazda, jazda. Nie ma czasu – pogonił ich Gael zrzucając plecak.

Żołnierze przebrali się tak szybko, jak to możliwe. Ubrani w maski oraz specjalistyczne ubranie ochronne, wyglądali raczej jak grupa naukowców podczas zwalczania epidemii, a nie jak grupa specjalna. Chwilę później ruszyli przed siebie.

Korytarz stał się bardziej wyprofilowany, jakby ociosany a pod nogami nie było już piachu, lecz metalowa posadzka. Zdecydowanie było to pomieszczenie podobne do baz wojskowych. W odległości stu metrów od nich migał uszkodzony reflektor. Tuż obok znajdowały się okopcone, rozerwane pancerne drzwi. Ślady walki widoczne były gołym okiem.

– Widzicie to? – spytał Gael. – To jakiś kompleks naukowy.
– Wojskowy – wtrącił się Juri – zdecydowanie dla mnie wygląda na wojskowy.

Zbliżyli się, ostrożnie przechodząc przez rozerwane, metalowe wrota. Znaleźli się w dużej hali, w której na podłodze leżało kilka ciał mężczyzn ubranych w białe, naukowe kitle.

– Zobaczcie – rzekł Tusambe – oni chyba sami się pozabijali. Ten tutaj – Tusambe wskazał palcem na trupa – zadźgał nożem swojego kolegę.
– Faktycznie nie mają śladów po kulach – dodał Pchła.
– Musieli się o coś pokłócić – zażartował ponuro Juri.
– Nadal jest zasilanie – powiedział Kolbert włączając przełącznikiem światło w pomieszczeniu. – Nie dziwię się, że satelity nie wykryły tego obiektu, jest zbyt głęboko pod ziemią.
– Myślicie, że zbudowali go Rosjanie lub Chińczycy? – spytał Pchła.
– Na pewno nie terroryści – odparł z ironią Gael.

Żołnierze przeszli korytarzem do kolejnego pomieszczenia. Sala niegdyś służąca, jako laboratorium, teraz przypominała wysypisko śmieci. Na posadzce, tak jak w poprzednim pomieszczeniu, panował nieopisany chaos: porozrzucane krzesła, połamane stoliki oraz poroztrzaskiwane monitory walały się wszędzie.

– Musimy iść dalej. Szkoda czasu – rozkazał Gael.
– Znajdźcie schody – powiedział Kolbert patrząc w ekran detektora promieniowania – to coś jest pod nami.

Żołnierze popatrzyli po sobie wzruszając ramionami.
– Poszukajcie, muszą gdzieś tu być – ponaglił Gael.

Klatka schodowa znalazła się za rogiem korytarza. Windy nie działały. Schodzili coraz niżej i niżej, badając kolejne korytarze tajemniczego obiektu. Ściany gdzieś obryzgane krwią wiły się niczym zapomniane transzeje dawnych okopów. Widok nie przypominał raczej tego, co serwuje się na wykładach podczas kursu podstawowego. Zatrzymali się na minus siódmym piętrze.

– To tutaj – powiedział Kolbert wskazując ręką drzwi.

– OK. Wchodzimy.

Błyskawicznie, automatycznie wykorzystując wpojone procedury, znaleźli się w kolejnym korytarzu, jeden za drugim, szybko i precyzyjnie, poruszali się w kierunku drzwi, znajdujących się na końcu tunelu. Po ich prawej i lewej stronie, za przeszklonymi ścianami, znajdowały się ogromne rezerwuary wypełnione cieczą. W środku hodowano jakieś organizmy. Zatrzymali się obserwując te dziwne istoty, które wyglądały jak ludzie, lecz ich skóra była koloru szarego. Mieli nieproporcjonalnie duże głowy w stosunku do reszty ciała, które mierzyły na oko sto pięćdziesiąt centymetrów.

Weszli do pomieszczenia. W środku było dziesięć zbiorników, lecz tylko w trzech znajdowały się te organizmy. Stali w osłupieniu, milczeli.

– Co to, kurwa, jest? – zapytał Pchła wskazując palcem.

– Nie mam bladego pojęcia – odpowiedział Kolbert.

– Ani ja – dorzucił swoje Juri.

Tusambe podszedł do zbiornika. Dotknął ręką rezerwuar. Przez chwilę przyglądał się bardzo uważnie, następnie spojrzał się na resztę. Mimo maski na twarzy widać było w jego oczach przerażenie.

Wszyscy wpatrywali się w niego, oczekując odpowiedzi.

– Jak wiecie wraz z Albeme, pochodzimy z Afryki, z plemienia Dogonów – kontynuował.
– W naszej kulturze istnieją szamani. Opowiadają legendy.

Żołnierze przysłuchiwali się coraz uważniej.

– Dogoni, nasi przodkowie oraz bracia z krwi i kości opowiadali, że starożytną wiedzę na temat budowy Układu Słonecznego, a w szczególności Syriusza B, posiadli od przybyszów z niebios.

– W naszej mitologii – wtrącił się Albeme – jest przekazywane, że Mantindane przybyli z innego świata. Służą Chitauri, których ludzie w czasach dawnych czcili jako Bogów.

Żołnierze spoglądali teraz na nich z lekkim niedowierzaniem.

– Ci tutaj, to właśnie słudzy Chituari, zwani Mantindane – dodał Tusambe wskazując palcem na zbiornik.

– To jedynie legendy – wtrącił się Gael.

„Fox wspominał coś o tych zabobonach, ale, po co?” – zadał sobie pytanie.

– Wy chyba, kurwa, nie mówicie poważnie, że te szare krasnoludki tutaj, to przybysze z kosmosu? – zapytał z pełną ironią w głosie Pchła.

– Naszych braciszków pogięło – wykrzyknął Juri. – Mam nadzieję, że już nie palicie ziółek z tymi szamanami?

– Uspokójcie się – wtrącił się Gael. – Fox również o tym wspominał.

Usiadł na pobliskim taborecie operując broń o udo.

– Co? – zapytali równocześnie Kolbert, Juri i Pchła.

– Podczas odprawy, rzucił skrawek informacji. Wywiad nie powtarza bredni. Zrobił to świadomie. Może to ostrzeżenie?

– Pieprzycie wszyscy od rzeczy – skomentował to Juri.

– Tak, to co jest w zbiorniku. Kurczak? – zapytał Albeme. – Ja i mój brat mówimy wam prawdę! Durnie!

– Nieważne co to jest! Nie wygląda jak wysłani tutaj poprzednio żołnierze! – krzyknął Gael.

– Racja. Skupmy się na zadaniu – dodał Pchła.

– Wydaje mi się, że to jakiś eksperyment genetyczny. Natrafiliśmy na tajne laboratorium jakiegoś rządu. Po twarzach trupów widać, że są to biali – powiedział Kolbert.

– Żółtków też widziałem – mruknął Albeme.

– I czarnych – dodał Pchła.

Gael podszedł do komputera i spróbował go uruchomić.

– Poszukajmy może jakiś zapisków – rzekł spoglądając na kolegów. – Przeszukajcie szuflady, może natrafimy na jakiś opis.

– Dobry pomysł – odparł Pchła.

Rozeszli się po pomieszczeniu. Przeszukiwali szybko, wszystkie możliwe miejsca. Niestety, nie znaleźli nic, co tłumaczyłoby czym są istoty zamknięte w pojemnikach. Działające komputery zabezpieczone były hasłem.

– Widziałeś to! – krzyknął nagle Pchła. – Poruszył ręką. To coś żyje!

Chwycił za broń i wycełował, gotowy do strzału. Gael błyskawicznie znalazł się przy nim. Szybkim ruchem dłoni złapał za lufę i skierował ją w dół, zastaniając jednocześnie pojemnik.

– Odbiło ci! – krzyknął. – Pchła! Opanuj się!

Reszta podbiegła do nich. Nastąpiła cisza.

– Spokojnie. Już dobrze – wydyszał Pchła. – Poniosło mnie.

Gael puścił lufę.

– Nie mamy czasu na zabawę w detektywa. Zakładam, że to coś stanowi zagrożenie. Odłączyć funkcje życiowe. Idziemy dalej – powiedział Gael. – Jak się nie da, to po trzy strzały w głowę. Wykonać. Jazda!

Wilgoć, więcej wilgoci. Cała sala wypełniła się dziwnym śluzem. Ciała obcych istot zmieszały się z krwią ludzi. Umierali tak samo. Gael nie wiedział, kim byli i skąd pochodzili oraz jakie mieli zamiary. Nie był nawet pewien, czy to rzeczywiście przedstawiciele obcej cywilizacji. Może to kolejny tajny projekt rządowy, eksperyment genetyczny. Manipulacja ludzkim kodem DNA pomieszanym ze zwierzęcym. Ludzka wyobraźnia nie zna granic, a zdolność do zadawania cierpienia posunęła się jeszcze dalej i te granice przekroczyła. Taki już jest ten świat, dziwny i nieobliczalny.

– Drzwi są zamknięte – powiedział Kolbert. – Musimy przejść dalej.

– Możemy wysadzić? – zapytał Gael Albeme'a.

Stali przed metalowymi, solidnymi wrotami. Czytnik wskazywał, że to, czego szukają, jest za nimi.

– Możemy. Kontrolowany wybuch nie uszkodzi struktury pomieszczenia. Podaj C4 – stwierdził Albeme.

Ładunki zostały założone. Ukryli się. Albeme sprawdził, czy wszyscy są w bezpiecznym miejscu, po czym nacisnął przycisk detonatora. Zapalnik zainicjował wybuch. Siła eksplozji rozerwała metalową przeszkodę, niczym dziecko rozrywające kawałki plasteliny. Droga była wolna.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli wyglądało na ogromny hangar. Wyglądało jak dok przeładunkowy. Podłoga wykonana była ze stalowej jednolitej płyty o wystających prążkach. Na środku stały dwa pojazdy kołowe, przystosowane do poruszania się po bazie. Na końcu pomieszczenia znajdował się niewielkich rozmiarów dźwig, ewidentnie przystosowany do załadunku i rozładunku towarów.

– Czuję się jak na dworcu centralnym – szepnął się Kolbert spoglądając na detektor promieniowania. – Pośpieszmy się, licznik oszalał.

– Dziwne miejsce. Co oni tutaj transportowali? – zapytał Pchła.

Zbliżyli się do jednego z kontenerów. Był otwarty. W środku leżeli dwaj martwi mężczyźni. Jeden nie miał głowy, a drugi był przecięty w pół.

– Zobaczcie – krzyknął Juri. – Urwało mu głowę. Tam, gdzie powinna być krew jest przypalone zwęglone ciało.

– Nie wiem, co mogło ich tak urządzić – rzekł Tusambe spoglądając na ciała.

– Możemy nie zdążyć przed świtem, ruchy panowie – ponaglił ich Gael.

– Lepiej zbadajmy teren – oświadczył Pchła.

– Czytnik promieniowania wskazuje, że Pandora jest w jednym z tych kontenerów. Nie radziłbym zostawać tutaj. Promieniowanie jest zbyt wysokie – stwierdził Kolbert spoglądając na Gael'a.

– Chodźcie tutaj! – krzyknął Albeme.

Żołnierze podbiegli do kolegi. Albeme wskazywał palcem na zawartość kontenera.

– Co to jest? – zapytał porucznik.

Juri podszedł do znaleziska. Były to starannie zapakowane skrzynie niewielkich rozmiarów. W środku znajdował się biały proszek. Otworzył nożem torebkę.

– Wygląda na prochy – rzekł przecierając wizjer maski przeciwgazowej.

Gael'owi serce zabiło ze zdwojoną prędkością.

„Xavier miał rację. Szmuglują narkotyki. Nie wszystko się jednak zgadzało. Nikt nie wspominał o ogromnych, wojskowych kompleksach położonych głęboko pod ziemią. Jeśli nawet ktoś przemyca narkotyki, to nie robią tego watażkowie z plemion Tuaregów. To jest operacja na światową skalę”, rozbrzmiewały myśli w głowie Gael. „„Po co to robią? Dla kasy?”

– Mam coś lepszego – powiedział Tusambe.

Żołnierze spojrzeli w stronę kolegi. Za jego plecami dostrzegli biały, elegancki pociąg z uwidocznionymi czarnymi literami napisem: transport więźniów ONZ.

– Co to oznacza? – zapytał Juri.

– To placówka ONZ lub NATO – dodał Gael podchodząc do napisu.

– Wejźmy do środka – dorzucił szybko Kolbert.

Pociąg wypełniały kajdanki poprzyczepiane do każdego plastikowego krzesła. W środku znajdowały się nieczynne kamery oraz ekrany monitorów podłączone do sufitów a na końcu pierwszego wagonu leżało ciało. Zbliżyli się.

Spoczywające na podłodze zwłoki żołnierza przyodziane w czarny kombinezon nie nosiły widocznych, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ran czy postrzałów. Juri odwrócił go na plecy. Twarz nieboszczyka wykrzywiona w grymasie niewyobrażalnego bólu, jaki prawdopodobnie zadano mu tuż przed śmiercią, spoglądał na nich tak jakby próbowała ich przez coś ostrzec. Kilka metrów dalej, w następnym wagonie, leżeli kolejni żołnierze.

– Co ich zabiło? – zapytał Juri.

– Nie mam pojęcia – odparł porucznik. – Kolbert, gdzie jest to urządzenie?

– Gdzieś tutaj – odpowiedział.

Żołnierze rozpoczęli przeszukiwanie wagonu. Sprawdzali pod siedzeniami, za ekranami monitorów, w końcu wpadli na pomysł, aby sprawdzić pod wagonami. Ich oczom ukazał się zaskakujący widok: pociąg nie posiadał kół. Unosił się lekko nad ziemią.

– Ja pierdolę! Ale jazda! – skwitował Pchła.

– Chyba to mam! – krzyknął Gael.

Wszyscy znaleźli się przy nim. Dowódca przykucnął przy rozszczelnionym pojemniku, w którym leżała niewielka kostka w kształcie piramidy, tak mała, że można było ją zamknąć w zaciśniętej dłoni. Materiał, z jakiego ją wykonano nie przypominał niczego, co można spotkać w codziennym życiu, co chwila zmieniał kolor oraz strukturę.

– Detektor wskazuje, że to jest Pandora – powiedział Kolbert patrząc w przerażeniu na Gael'a. – Zwijajmy się stąd, szybko! Wykres jest poza skalą! Boże! Dwieście siwertów na godzinę!

– Tyle zachodu o pamiątkę z Egiptu? – zapytał zdziwiony Juri.

– Lepiej to zamknijmy, zanim wyrządzi więcej szkód – zaordynował Pchła. – Kolbert dawaj pojemnik.

– Stój! – wrzasnął Tusambe, patrząc jak Gael zahipnotyzowany wibracją Pandory wyciąga po nią rękę – Mieliliśmy jej nie dotyk... – nie zdążył dokończyć.

Imponujący błysk rozlał się po pomieszczeniu, przewracając wszystkich żołnierzy. Jedynie Gael dotykając palcem czubek Pandory, wpatrzony w jej oś, podrygiwał pieszczone epileptycznymi wstrząsami, jakby dźgany prądem. Mimo to nie zwolnił chwytu i niczym żelazny posąg pozostał na swoim miejscu. Ból rozchodzący się kręgosłupem, utrzymywał go w zastygłej pozycji. Jednak i to nie trwało długo, gdyż kilka sekund później upuszczając Pandorę osunął się na podłogę, głośno przy tym oddychając.

– Wszystko w porządku?! – wrzasnął Pchła pierwszy podbiegając do niego.

Zamiast odpowiedzi usłyszeli pozbawione logiki mamroty:

– Musimy... – szeptał Gael – Na Bogów... eterom strukturalny planety... on... – głos wzmagął się – ulega rozpadowi! Ozum! Ewakuujcie wszy... – nie dokończył.

– Gael! – wrzasnął Pchła przywracając go do świata żywych.

Rozglądał się tak jakby pierwszy raz na oczy widział to miejsce.

– Co... gdzie... – wybąkał – Długo byłem nie przytomny?

– Żyjesz – ucieszył się Pchła. – Wpatrywałeś się w to gówno jakbyś odnalazł św. Grala.

Gael starał się uchwycić wzrokiem dziwny obiekt, lecz w tym samym czasie Kolbert kopnął Pandorę trafiając do izolowanej skrzynki, następnie, ku uciesze wszystkich, pośpiesznie ją zamknął.

– Nie powinni jej otwierać – dodał Kolbert pod nosem wskazując na martwych żołnierzy. – Niech nikt nie waży się tego dotykać!

– To przyniesie pecha – mamrotał Tusambe. – Obudziliśmy ich!

– Zamknij się! – warknął Juri. – Co się z wami dzieje?

– Zbierajmy się stąd – rozkazał Albeme.

Gael kiwnął głową i z niewielką pomocą Pchły podniósł się z podłogi.

– Przeszukałem ich. Nie mieli przy sobie żadnych dokumentów i nie nosili nieśmiertelników – stwierdził ze zdziwieniem w głosie Juri.

– Pewnie też byli na urlopie – dodał ironicznie Pchła a następnie rozejrzał się po okolicy. Coś mu podpowiadało, że nie byli tu bezpieczni.

– Zbieramy się stąd – wycedził Tusambe. – Szybko! – jego głos zdradzał rodzący się w umyśle strach.

– Ciekawe, dokąd prowadzą te tunele – powiedział Pchła wskazując palcem na kolej.

– Nie wiem. Pierdolę te tunele. Zresztą są pewnie i tak zawalone. Zwijajmy się stąd! – mówił szybko Tusambe.

Żołnierze spojrzeli na mamroczącego w panice Tusmabe, gorączkowo skanującego każdy zakamarek pomieszczenia.

– Też mi się tutaj nie podoba. Pakować się wyruszamy – wtrącił Gael przyglądając się pojemnikowi skrywającym w swym wnętrzu Pandorę.

Opuścili wagon kierując swe kroki w kierunku wyjścia.

– Tyle zachodu o taką pierdołę. To jest ta walizkowa bomba? – szepnął Albeme do Kolberta.

– Nie mam pojęcia, ale... – nie zdążył dokończyć.

Wizg pocisku przeszył powietrze, rozrywając prawy bark i powalając go na ziemię.

– Kontakt przód! – krzyknął Juri.

Żołnierze błyskawicznie „pocałowali” ziemię, tuląc się do niej niczym dziecko do matki. Ktoś, lub coś, do nich strzelało. Przygwożdżeni ogniem przeciwnika pośpiesznie szukali najbliższej dostępnej osłony, niestety na próżno. Leżeli pośrodku gigantycznego podziemnego doku przeładunkowego, a do najbliższych skrzyni dzieliła ich odległość trzydziestu metrów. Zważając na prędkość pełzania i będąc pod ostrzałem napastników, równie dobrze mogli pomarzyć o szybkiej dostawie pizzy. Nie wiedząc ilu przeciwników mają przed sobą postanowili utworzyć obronę okrężną, lecz nie należało to do łatwych zadań, strzały padały z ciemności, z różnych miejsc ale nigdzie nie widać było błysków ognia. Pozostanie w tym miejscu na dłużej było bardzo złym pomysłem, doskonale o tym wiedzieli.

– Dym, dawajcie dym! – huknął Pchła.

W powietrze poleciały granaty, błyskawicznie zasnuwając pomieszczenie mlecznym puchem. Widoczność gwałtownie spadła. Nasłuchiwali. Cisza.

– Nie powinniśmy tego dotykać! Mantidane są tutaj! – spanikował Tasmabe.

– Zamknij się – wyszeptał Pchła.

Gdzieś przed sobą usłyszeli odgłos zbliżających się kroków. Pchła podczołgał się do Kolberta, wyjął bandażę i rozpoczął opatrywanie rany. Gael wskazał ręką kierunek wycofania, sygnalizując, że najbezpieczniejsze miejsce znajduje się za ledwie widocznym kontenerem. Opary ciężkiego dymu zasnuły okolicę, widoczność spadła do kilku metrów. Jedynie ledwie słyszalny lament Tusambe odbijał się echem od ścian pomieszczenia.

– Przymknij się wreszcie – szepnął Gael. – Ciszej!

Słowa nie poskutkowały. Pomogła zdecydowana reakcja Juriego, który z szybkością rewolwerowca zakneblował mu usta.

– Ciii bracie. Będzie dobrze. Wyjdziemy z tego – szeptał, starając się ukryć grozę, jaka wdarła się i do jego wnętrza.

Pchła lewą ręką zasygnalizował, że z prawej strony usłyszał jakiś szmer. Gael odruchowo spojrzął w tamtym kierunku. Za późno. Przed nimi pojawiła się wysoka postać, ubrana w srebrno-czarny kombinezon, przysłaniająca swą twarz niespotykanym na co dzień hełmem, który zbudowany był z maleńkich płytek zachodzących jedna na drugą, niczym łuski węża. Gael pierwszy raz widział coś takiego, tak innego, nieznanego a zarazem fascynującego.

Nie zastanawiając się dłużej odruchowo strzelił, lecz zamiast rozbryzganej krwi i podziurawionego ciała, kombinezon zabsorbował uderzenie pocisków. Trafienie jednak było tak silne, że powaliło napastnika na ziemię, zaraz obok pojawili się następni. Gael poczuł przeraźliwy ból w brzuchu, czuł jak krew rozlewa się po całym mundurze. Osunął się na ziemię. Wszystko działo się tak powoli. Strzały. Krzyki. Bicie serca w przerażającym zwolnieniu. Nigdy nie przypuszczał, że śmierć przyjdzie tak szybko i tak niespodziewanie. Jeśli miałby opisać jednym słowem co czuł, gdy opuszczało go ostatnie tchnienie, to powiedziałby, że spokój.